TYGODNIK KOBIETY

CENA 50 GR.

Nr. 21
24 maja 1936 r.





PIĘKNA SUKNIA WIECZOROWA Z CZARNEJ ORGANDYNY W ŻÓŁTE PASY, PRZYBRANA FALBANAMI. PHOTO PARAMOUNT.

Na okładce czarujący Baley Leroy wśród siana. Photo Paramount.



SUKNIA WIECZOROWA Z GRANATOWEGO SZYFONU W BIAŁE GROCHY, ROZSZYTA BIAŁYM SZYFONEM W GROCHY GRANATOWE. DUŻY CZARNY KWIAT. NOSZONA PRZEZ FRANCES DRAGE Z WYTWÓRNI PARAMOUNT.

TYGODNIK KOBIETY

ROK II. Nr. 21. 24 MAJA 1936 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 5 m. 15 — TELEFON 5-07-03

MATKA

„Matka i Serce Syna", proste słowa co zdobią sam środek wielkiej płyty granitowej mauzoleum cmentarza na Rossie, w którem w dniu 12 maja spoczęły szczątki Matki Pierwszego Marszałka Polski i Jego serce.

U góry płyty umieszczono napis:

„Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie [mogą
Za innych śladem iść tą samą [drogą...",

a sam dół płyty ozdobiony został cytatą ulubionego poety Marszałka, Słowackiego (z Beniowskiego):

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast [domu
Gniazdo na skałach orła: niechaj [umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
I słychać jęk sztandarów w sosen [szumie —
Tak żyłem..."

W „Dniu Matki" zwracamy myśl naszą ku Tej, którą Marszałek umiłował poza grób, której zasady były Mu drogowskazem w najcięższych i najtrudniejszych chwilach życia.

Matka Marszałka, Marja z Billewiczów Piłsudska, urodziła się i wychowała na wsi w rodzinnym Adamowie, na Kresach Wschodnich. Mając zaledwie 4 lata, utraciła matkę i chowała się pod kierunkiem dziadka, Kacpra Billewicza. Surowy tryb życia, stosowany przez dziadka do ukochanej wnuczki, wówczas małej i wątłej dziewczynki, sprawił, że całe jej dzieciństwo upłynęło pomiędzy rzadkiemi, zbyt rzadkiemi, uśmiechami losu.

Jako podrastająca dziewczynka, z natury wątła i chorowita, Marja wtajemniczona została przez dziadka w aktualne sprawy narodowe i bywała dopuszczana, jako widz i słuchaczka, do nocnych rozmów i narad patrjotycznych w adamowskim dworze; pozostawiło to niezatarty ślad w Jej sercu, w tem sercu, które umiało równie gorąco miłować Ojczyznę, jak i nienawidzieć jej ciemiężców.

W osiemnastym roku życia Marja zaręczyła się z ciotecznym bratem swej zmarłej matki, o dziewięć lat starszym od siebie Józefem-Wincentym-Piotrem Piłsudskim, który w owym czasie (r. 1861), brał czynny udział w życiu patrjotycznem. Pod koniec 1862 roku, niemalże w przeddzień wybuchu powstania, Marja Billewicz stała się Marją Piłsudską. W małżeństwie znalazła szczęście, a w swym towarzyszu nietylko małżonka, ale i przyjaciela w pełnem tego słowa znaczeniu.

Nie umiała jednak cieszyć się beztrosko swem szczęściem osobistem, gdy ojczysta ziemia spływała krwią bahaterów.

Józef-Wincenty Piłsudski, który w owym czasie był komisarzem Rządu Narodowego na Żmudzi, po klęsce powstania musiał się ukrywać, poczem osiadł wraz z żoną w Zułowie, powiatu święciańskiego, który to majątek przypadł pani Marji w spadku, jako dziedziczne dobra jej dziadków, Michałowskich.

Od tej pory Zułów staje się domem rodzinnym Piłsudskich.

Tam Marja Piłsudska pędzi dalsze swe życie, jako żona i Matka; tam przychodzą na świat jej pierwsze dzieci: córki Helena i Zofja (późniejsza ś. p. Kadenacowa). syn Bronisław, a po nim — w grudniu 1867 roku — Józef Klemens, pieszczotliwie Ziukiem zwany (Pierwszy Marszałek Polski), dwa lata po nim Adam (późniejszy prezydent Wilna), następnie Kazimierz i Marja.

Idealną żoną, Matką i panią domu była Marja Piłsudska. Dla dzieci niejako punktem centralnym ich życia, Matką w najwyższem pojęciu tego słowa. Rozwijała w nich umiłowanie Ojczyzny i poczucie obowiązku, a gdy starsze podrosły, gromadziła je przy sobie, czytała im dzieła polskich wieszczów i odbywała z niemi pogadanki, których głównym tematem były zdarzenia ostatniego powstania.

W licznych pismach i mowach, ogłaszanych już w wiele lat po śmierci Matki, Józef Piłsudski podkreślał zawsze ogromny wpływ Jej na kształtowanie się swej indywidulności i atmosferę patrjotyzmu, która cechowała dwór zułowski:

> „Matka, nieprzeciętna patrjotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu i zawodów z powodu ostatniego powstania, owszem, wychowywała nas, robiąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem Ojczyzny".

Kiedy po pożarze w Zułowie państwo Piłsudscy postanowili oddać do szkół dwóch starszych synów, — pani Marja namówiła męża, aby się wszyscy na jakiś czas do Wilna przenieśli. Dla młodych hardych dusz przeżycia w rosyjskiem gimnazjum były wstrząsem nielada. O swojem wejściu w progi szkolne tak pisze Józef Piłsudski:

> „Matka od najwcześniejszych lat starała się rozwinąć w nas samodzielność myśli i podniecała uczucie godności osobistej, które w moim umyśle formowało się w sposób następujący: tylko ten wart nazwy człowieka, który ma pewne prze-

konania i potrafi je, bez względu na skutki, wyznawać czynem".

Aby podtrzymać udręczone we wrażej szkole dusze synów, pani Marja czytała im na głos i, jak niegdyś w Adamowie, opowiadała o bohaterach powstania, wpajając w dzieci, aby szanowały i miłowały „jak siebie samych" tych, co ubodzy są i tych, co u innych służyć muszą.."

W taki to sposób Marja Piłsudska sposobiła dzieci do przyszłej pracy i uzbrajała ich młode dusze w te wszystkie zalety, jakie ją samą cechowały.

Ostatnie lata Marji Piłsudskiej, pomimo ciężkiej choroby, która przyczyniała wiele cierpień, nie nadwątliły jej sił duchowych i umysłowych. Zawsze i niezmiennie jej pogodne serce promieniowało siłą i przyjacielską gotowością, a ukochane dzieci były dla niej i nadal czemś najbliższem w świecie: wiedziała i czuła, że jeżeli zadaniem Jej życia było wychowanie dzieci na ludzi godnych imienia Człowieka, to zadanie to przeprowadziła dobrze.

Zmarła przy końcu 1884 roku.

Takiem było życie Marji z Billewiczów Piłsudskiej, tej niejako symbolicznej Matki-Polki. Życie skromne i ciche, a zarazem ofiarne i piękne, którego udziałem były: cierpienie, miłość i praca.

Jakąż siłą niezwykłą obdarzona była dusza tej kobiety, fizycznie słabej, drobnej i wątłej, jeśli takiego Syna dała Ojczyźnie? Jakiem wielkiem musiało być Jej serce, które, samo miłując tak gorąco i Polskę i naród i swe liczne dzieci, — tak miłować nauczyło! Jak żelazną musiała być Jej wola, że tak zahartowała Syna, iż nie złamały Go żadne burze, a sił Jego nie nadwątliło żadne cierpienie! Jak bogatym był Jej umysł, który pozwalał Jej na wypełnianie obowiązków Polki, żony i Matki tak licznego potomstwa, — a równocześnie — na pogłębianie Swej wiedzy i na kształcenie synów w dziedzinie historji i literatury ojczystej!

Nigdy niewygasła miłość do Matki sprawiła, że Józef Piłsudski wypowiedział Swą wolę, która miała być ostatnim hołdem miłości synowskiej: zapragnął, aby po śmierci serce Jego spoczęło w grobie Matki, u Jej stóp.

Woli tej stało się zadość.

Alicja Bełcikowska

Warszawa, w maju 1936 roku.

Błękitna legenda

Wilno —
Na dźwięk ten serca gorącym tętnią rytmem,
głowy chylą się w głębokiem, bezsłownem zadumaniu,
pod powiekami przesuwają się na wieczność w duszach zaklęte obrazy,
odżywają w najszlachetniejszy kryształ stężałe wzruszenia.
Wilno —
w dniach 11-stym i 12-stym maja Polski stolica,
Rzeczpospolitą wszystką w murach goszczące,
w dostojeństwo i uroczystą wielkość przybrane,
znaczące na kartach historji doniosłą dziejową chwilę
Wilno.
Minęły dnie owe wielkie, Marszałkową wolą „miłemu miastu" wyznaczone;
dnie, w których wezbrane fale uczuć, kornych i oddania pełnych, hołdem najgłębszym tchnących,
kirem bolesnego żalu i złotem najszczerszej miłości tkanych, ogarniały miękiemi a mocnemi
oplotami urnę, co w sobie bezcenny klejnot zawarła
i kładły się rzewne a ciche u trumny matczynej, skrzydłami Orła Białego spowitej.
Jak w ognisko wszystkie moce skupiające, przypływały fale miłowania wielkiego i ślubowań z krańców
wszystkich Polski do wileńskiej świątyni, gdy nisze jej i kolumny kryły narodową Świętość. —
Przypływały fale, wzbierały, potężniały, rosły, rosły rosły — —
aż w wieczornej godzinie Bożego Tronu i stóp świętego cienia dosięgły,
w prostą, o niebiosa wspartą kolumnę z błękitnych świateł przemienione.
I dziwiły się przestworza i światy wszystkie miłowaniu wielkiemu, co ziemię z niebem złączyło
przedziwnym pomostem z świętych wstęg, z błękitnych smug.
Uwierzył Wódz narodowi swemu
i w odwieczerz drugi, Serce Jego — gdy Je Świątynia Rossie oddała, gdy głaz przywalił Je twardy —
światłość rozpłomieniła wielka, jasna, radosna —
Jak słońce blaskami z zachodniego krańca, ogarnęło z za grobu Serce wodza miłościwe Wilno
i Polskę wszystką strzelistemi, błękitnemi łukami na niebiosów stropie rozpiętych świateł —
Miłościwie, opiekuńczo, promiennie, bezgłośnie.

I została Polska w dniu 12-stym maja sama — ale ufności pełna i mocna miłowaniem serdecznem,
które łukami ze światła i błękitu, dobytemi z Serca Marszałkowego wzięło naród polski we władcze
a dobrotliwe — w wieczne panowanie.

— —

Są, którzy mówią o wspaniale skomponowanych, na żałobną uroczystość wileńską, efektach świetlnych
i są którzy głoszą przedziwną błękitną legendę.

MARJA IZA GADOMSKA.

DOM PEŁEN SŁOŃCA I UŚMIECHU

U kresu linji tramwajowej siódemki rozpoczyna się ulica Opaczewska. Nie piękna napozór, ani ciekawa.

Trzeba jednak minąć szereg niskich domków, przymykając oczy na ich brzydotę, znaleźć się na właściwym początku ul. Opaczewskiej, stanąć przed obliczem reprezentacyjnego gmachu Wolnej Wszechnicy, aby naprzeciw Wszechnicy odkryć niewielki budynek piętrowy, otoczony ogrodem pełnym dzieci—to niedawno otwarta nowa siedziba II Ośrodka Zdrowia i Opieki Społecznej.

Dom pełen słońca i uśmiechu! Niema w tem ani odrobiny przesady.

Wybudowany w roku 1935 i częściowo oddany do użytku, dopiero przed paru miesiącami został zupełnie wykończony i zamieszkały.

Suteryny, to zresztą zbyt skromna nazwa na określenie widnych, przestronnych sal, zostały wydzierżawione przez miasto Tow. „Osiedle", które prowadzi w nich swoje przedszkole. Daje się tu odczuć w pierwszym rzędzie dobrotliwa zapobiegliwość Pani Marszałkowej Piłsudskiej, pod której protektoratem i opieką pracuje „Osiedle". Obszerny plac, przylegający do bundyku Ośrodka, należy również do „Osiedla". Urządzono na nim wzorowy ogródek Jordanowski z którego korzystają dzieci „Osiedla", dzieci dzielnicy, oraz trzech sąsiednich szkół powszechnych.

Patrzę, podziwiam i brak mi słów, a to przecież dopiero początek.

Wchodzimy na parter do sali obszernej, zalanej słońcem (dzięki częściowo oszklonemu sufitowi). Umana w ciepłym niebieskim tonie — istna sala operacyjna luksusowego banku. A tymczasem napisy orjentacyjne upewniają mnie, że tu ogniskuje się praca Ośrodka, że za okienkami urzędują pielęgniarki, że szereg kobiet siedzących na ławkach czeka na rejestrację, bądź przyjęcia lekarzy. Wesołe, biało lakierowane drzwi wiodą do szeregu poradni, do gabinetu naświetlań lampą kwarcową, do gabinetów lekarskich, czy ja wiem dokąd jeszcze, może wiodą prosto do słońca po uśmiech i zdrowie i to zdrowie nietylko fizyczne. Tuż obok. z niewielkiej poczekalni szereg drzwi prowadzi do działu społecznego. Tu w jednym z gabinetów urzęduje referentka społeczna, p. Aleksandra Walewska, absolwentka Szkoły Społecznej w Belgji, której zawdzięczam zwiedzenie gmachu Ośrodka.



II-gi Ośrodek Zdrowia i Opieki Społecznej na tle ogródka Jordanowskiego.



Wchodzimy na parter do obszernej sali zalanej słońcem....

Tak przedstawia się parter. Na pierwszem piętrze, dokąd wiodą wesoło malowane schody, mieszczą się: poradnia dentystyczna dla dzieci, poradnia dla matek ciężarnych i dla niemowląt, ozdobiona artystycznemi wycinkami pomysłu art. malarki, p. Janiny Niezabitowskiej, której zasługą również jest wesoło dobrany koloryt wnętrz. W tej bezinteresownej pracy dopomogli Jej p. Hanna Solska i p. Jurgielewicz.

Na ścianie w szerokim przedpokoju - poczekalni widnieją oprawione pod szkłem słowa Marszałka — cytaty o dziecku.

Ale wróćmy do głównej sali. Stąd dostaniemy się do gabinetu naczelnej kierowniczki Ośrodka, p. Heleny Millerówny. Pukam i wchodzę — mały, seledynowy pokój z biurkiem. Na moje powitanie wstaje młoda uśmiechnięta pani, właśnie młoda i właśnie uśmiechnięta. Siadam na podsuniętem krześle i robię się ważna — wysłanniczka readkcji nie byle co!

— Tu u pani niczem w Ameryce — rozpoczynam uczenie rozmowę.

— A była pani może w Ameryce? — pyta. p. Millerówna.

Myślę sobie, że gotowa mi zrobić egzamin. Też pomysł pytać czy byłam?. Mówię, że „jak w Ameryce", to zapewne wiem.

A p. Millerówna, niezrażona moją *miną*, powiada: — Pytam czy pani

była, bo ja po zrobieniu doktoratu socjologji w Poznaniu spędziłam w Ameryce cztery lata, z czego dwa w New Yorku, w Szkole Społecznej, którą ukończyłam.

O! Straciłam cały tupet i całą górnolotność. Więc nareszcie ktoś właściwy na właściwem miejscu! Poprostu spec i to bardzo miły spec, bo w dodatku uśmiechnięty, a przecież trudno się uśmiechać patrząc na ból i nędzę, która obfitą falą przepływa przez Ośrodek, a której nie zawsze można dopomóc tak jakby się pragnęło.

P. Millerówna prosiła mnie, żeby o niej nie wspominać, nie chciałaby być wyróżnioną z grona kolegów, których praca jest równie wartościowa i pożyteczna,a niejednokrotnie odbywa się w daleko gorszych warunkach. Nie mogę jednak spełnić prośby p. Millerówny, nie mogę choćbym chciała, muszę się poprostu pochwalić Jej wiedzą i Jej młodością.

Ośrodek na Opaczewskiej, jako nowowybudowany i poniekąd wzorowy, ma wszystko to, czego brak innym Ośrodkom, rezydującym w starych, skromniej wyposażonych domach.

Dotychczas na 11 istniejących w Warszawie Ośrodków 3 z nich mieszczą się w odpowiednio urządzonych domach, reszta czeka na lepszą przyszłość. Trzeba jednak podkreślić, że Zarząd m.st. Warszawy bardzo poważnie interesuje się losem Ośrodków i robi wszystko co może, a często więcej, niż może, pragnąc stworzyć możliwie najlepsze warunki bytowania tak pożytecznej i potrzebnej instytucji.

Tyle o p. Kierowniczce i o samym domu, ale co to jest Ośrodek i jakie ma zadania?

Ośrodek Zdrowia i Opieki Społecznej jest instytucją społeczną, stworzoną i utrzymywaną przez Zarząd Miasta. W kwietniu 1935 roku została wprowadzona reorganizacja instytucji, a mianowicie: Samorząd Warszawy, początkowo tytułem próby, połączył Ośrodki Zdrowia ze Stacjami Opieki Społecznej i Higjeny Szkolnej. Już po rocznym okresie próbnym przekonano się o celowości takiego połączenia. Również w r. 1935 Warszawę podzielono na 10 okręgów. Okręg II, na ul. Opaczewskiej, obejmuje terytorjum dwóch Komisarjatów, 11 i 23— okręg ten zam. przeszło 100.000 ludzi. Ośrodek ponosi całkowitą odpowiedzialność higjeniczną, sanitarną i opiekuńczą za swój okręg.

Ośrodek mieści w sobie 2 zasadnicze działy: Zdrowia i Opieki. Dział zdrowia obejmuje: Urząd sanitarny, Higjenę szkolną. Poradnie specjalne, jak gruźliczą, jagliczą, dla niemowląt, matek ciężarnych, weneryczną i alkoholiczną. Lecznictwo.

Opieka, w myśl ustawy o opiece społecznej z 1923 roku, obejmuje opiekę nad dziećmi opuszczonemi, sierotami, pół-sierotami, chorymi, niezdolnymi do pracy, kalekami, anormalnymi, starcami, włóczęgami i t.p.

Personel stały Ośrodka składa się z 39 osób: Głównej Kierowniczki, Lekarza Nacz., Referentki Opieki, 7 lekarzy specjalistów, 3 lekarzy szkolnych, 3 higjenistek, 8 pielęgniarek, 2 opiekunów fachowych miejskich, 1 wywiadowcy szpitalnego, 3 kontrolerów sanitarnych, 4 osób zatrudnionych w koncelarji i 5 funkcjonarjuszów.

Około 1000 rodzin korzysta z opieki społecznej Ośrodka i tyleż z opieki działu zdrowia. Prawo korzystania z Ośrodka mają rodziny zamieszkujące w danej gminie najmniej rok i mogące udowodnić brak środków do życia i niezdolność do pracy.



Poradnia dla niemowląt, ozdobiona przez p. J. Niezabitowską.

Bezrobotnych wspiera Fundusz Pracy i z pomocy Ośrodka korzystają dodatkowo. Pomoc opieki polega na opłacaniu komornego i rozdawaniu świadczeń w naturze, jak obiadów, chleba, węgla, bonów żywnościowych, odzieży i książek szkolnych, oraz udzielaniu zapomóg na pogrzeby.

Pomoc lekarska udziela porad lekarskich, środków leczniczych, rozmieszcza chorych w szpitalach, sanatorjach i kieruje do ambulatorjów.

Poza pomocą materjalną, Ośrodek prowadzi akcję oświatowo-wychowawczą. Dotychczas zostały zorganizowane kursy szycia i gospodarstwa domowego dla kobiet i dziewcząt.

Na kursach szycia wykonano odzież z materjałów rozdanych, uwzględniona została także nauka reperacji. W ten sposób skorzystało dotychczas z kursu szycia 300 matek.

Kurs gospodarstwa, niedawno ukończony, obejmował gotowanie, pranie i sprzątanie. Kładziono nacisk na gotowanie potraw zdrowych i tanich. Jako ciekawy przykład warto zanotować, że na zakończenie kursu ugotowano obiad na 27 osób, obiad niemal wykwintny, bo składający się z 5 dań, którego koszt od osoby wynosił niecałe 30 groszy.

Myślą przewodnią opieki jest nie demoralizować ludności darmowem rozdawnictwem, ale pomagać, uczyć i podnosić poziom moralny i społeczny. Większość rodzin korzystających z pomocy Ośrodków znajduje się całkowicie na barkach kobiet, które czynią bohaterskie wysiłki aby dzieci i siebie utrzymać na powierzchni życia.

Pozatem w dziale oświaty są stale organizowane odczyty, wygłaszane przez lekarzy specjalistów. Organizuje się również okolicznościowe obchody, o charakterze państwowym, jak obchód Święta Niepodległości i t. p. mające na celu wciągnięcie szerokich mas ludności do życia obywatelsko-państwowego. W związku z obchodami i odczytami urządza się wycieczki np. na Zamek, do Instytutu Higjeny i t. p. W powyższych imprezach i w opiece nad rodzinami pomagają opiekunowie społeczni, rekrutujący się ze społeczeństwa i zorganizowani w myśl ustawy Pana Prezydenta Rzplitej z 1928 roku, ogłoszonej w Dzienniku Ustaw Nr. 29 — 1928 r.

Pozatem dzięki bliskiemu sąsiedztwu z Wolną Wszechnicą, słuchacze Studjum Społecznego odbywają w Ośordku swoją pierwszą praktykę.

Ośrodek Zdrowia i Opieki — cegiełka w dziele olbrzymiem. Cieszymy się, że wyrósł nowy dom na krańcach miasta, dom pełen słońca i uśmiechu, wyrósł na mocnych podstawach, niechaj praca w nim kwitnie i promieniuje jaknajszerzej.

Janina Radkowska

Dzień 24 maja „Dzień Matki", rozpoczął „Tydzień Dziecka" pod hasłem kolonij i półkolonij letnich.

Zwłaszcza nam kobietom drogie i bliskie są losy dziecka, to też winnyśmy uczynić wszystko, aby dzieci w Polsce były zdrowe i szczęśliwe.

Każda z nas, której warunki pozwalają dać biednemu dziecku miejskiemu możność spędzenia wywczasów na powietrzu i słońcu, którą stać na to, aby odżywić, obdarzyć radością obcowania z naturą dziecko więzione, jak rok długi w murach miejskich, niech spełni swój obowiązek Polki-Obywatelki!

Redakcja







OKRESY WRAŻLIWOŚCI

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD ELESTY

Świeżo dokonane odkrycie w dziedzinie biologji, o tak zwanych okresach wrażliwości, które są ściśle związane ze zjawiskami rozwoju, ma dla nas osobliwe znaczenie. Od czego zależy ów rozwój? Jak rośnie istota żyjąca?

Kiedy się mówi o rozwoju, o rozroście, mówi się o fakcie, dającym się stwierdzić zewnętrznie, ale który od bardzo niedawna został rozpoznany w kilku szczegółach swego mechanizmu wewnętrznego.

W spółczesnej nauce mamy dwa przyczynki do takiego rozpoznania: jeden to badania nad gruczołami wewnętrznego wydzielania, które dotyczą wzrostu fizycznego i szybko stały się popularne dzięki olbrzymiemu wpływowi, jaki miały na pielęgnację dzieci. Drugi to rozpoznanie okresów wrażliwości, co odsłania nowe możliwości zrozumienia rozwoju duchowego. Okresy wrażliwości u zwierząt pierwszy wykrył holenderski uczony De Vries, ale my w naszych szkołach wykryliśmy okresy wrażliwości w rozwoju dziecka i spożytkowaliśmy je w celach wychowawczych.

Idzie tu o wrażliwości poszczególne, uchwytne w jestestwach, będących na drodze rozwoju, t. j. w stanach dziecięctwa; są to okresy przemijające i ograniczają się do nabycia cech określonych; gdy takie cechy już się rozwinęły wrażliwość znika. Więc każda taka cecha utrwala się zapomocą bodźca oraz możliwości przemijających. Wzrost przeto nie jest czemś nieokreślonem, jako konieczność dziedziczna, zawarta w jestestwach, ale jest to ciągła, nieustanna praca ściśle kierowana przez impulsy okresowe lub przemijające, które prą do działalności określonej, niekiedy jaskrawo odmiennej od pracy indywiduum dorosłego. Istotami, u których de Vries poraz pierwszy rozpoznał okresy warżliwości, były owady: posiadają one okres kształtowania się bardzo widoczny, albowiem przechodzą przez metamorfozy, dające się zaobserwować przez doświadczonych badaczy.

Weźmy jako przykład (zacytowany przez de Vries'a), nędznego robaczka, jakim jest gąsienica zwyczajnego motyla: wiadomo, że gąsienice rosną szybko, odżywiając się z żarłocznością i z tego powodu niszczą rośliny. Idzie tu o gąsienicę, która w pierwszych dniach życia nie może się odżywiać dużemi liśćmi drzew, lecz jedynie miękkiemi listeczkami, co wyrastają na samym końcu gałęzi. Jednakże dobra matka-motylek, chcąc potomstwu zapewnić bezpieczne schronienie, składa jajka właśnie w punkcie wręcz przeciwnym, t. j. w kąciku, utworzonym przez gałąź tam, gdzie ona wyrasta z drzewa.

Kto wskaże małym gąsieniczkom, zaledwie wyszłym z jajka, że miękkie listeczki, jakich im potrzeba, są tam na ostatecznym i przeciwległym krańcu gałęzi? Oto gąsienica jest wyposażona w żywą pobudliwość na światło: światło ją przyciąga, fascynuje i robaczek, podskakując ruchem, właściwym gąsienicom, posuwa się ku światłu żywszemu, aż na sam koniec gałęzi: tak tedy głodna, znalazła się pośród miękkich listeczków, które będą stanowiły jej pożywienie. Dziwna rzecz, że skoro tylko przeminął ten okres, to jest kiedy ta istota, dorósłszy może się odżywiać inaczej, traci swą wrażliwość na światło. Po pewnym okresie staje się obojętną na światło, instynkt zamilkł w niej zupełnie: okres pożyteczności przeminął i odtąd gąsienica chodzi innemi drogami w poszukiwaniu innych możliwości i innych środków do życia.

Gąsienica nie stała się ślepą na światło, lecz stała się obojętną na nie.

Oto fakt, który może łatwo doprowadzić do zrozumienia istoty zagadnienia, także odnośnie do dzieci. Z jednej strony mamy popęd, który każe spełniać czynności cudowne i zdumiewające, z drugiej obojętność, co czyni ślepym i nieudolnym. Na te tak odmienne stany duszy człowiek dorosły nie może wywrzeć zzewnątrz żadnego wpływu, ale jeśli dziecko nie miało możności postępować według wskazań okresu swej wrażliwości, przepadła sposobność zdobyczy naturalnej i przepadła na zawsze.

W okresie swego rozwoju psychicznego dziecko odnosi zdobycze, równie zadziwiające, jak cud; i jedynie przyzwyczajenie oglądania tych cudów czyni nas obojętnemi widzami.

Skąd dziecko orjentuje się w tym skomplikowanym świecie? Jak zdoła rozróżnić rzeczy i jakim cudem potrafi samo bez nauczyciela wyuczyć się języka z jego subtelnościami? Czyni to wszystko prosto, radośnie, bez zmęczenia, gdy człowiekowi dorosłemu potrzeba tylu środków pomocniczych, zanim się zorjentuje w nowem środowisku; ilu zaś musi dokonać wysiłków, aby się nauczyć nowego języka, nigdy już w tem nie osiągając doskonałości języka ojczystego, nabytego w dzieciństwie? Dziecko odnosi swe zdobycze w okresach wrażliwości, które możnaby porównać z zapaloną latarnią, co oświetla wewnętrznie, albo też z elektrycznością w stanie czynnym. Ta właśnie wrażliwość pozwala dziecku wejść w kontakt ze światem zewnętrznym w sposób wyjątkowo intensywny. A wówczas wszystko jest łatwe, wszystko jest porywem i życiem. Każdy wysiłek jest rozrostem sił. Dopiero kiedy poprzez okres wrażliwości, korzyść została odniesiona, następuje otępienie obojętności, znużenie. A gdy zgasła jedna z tych namiętności psychicznych, rozpalają się inne płomienie i w ten sposób dziecięctwo idzie od zdobyczy do zdobyczy w ciągłem napięciu sił żywotnych, które wszyscy poznaliśmy, nazywając je szczęściem i radością dziecięcą. W tym to pięknym ogniu duchowym co płonie niespożyty, rodzi się duchowy świat człowieka. Kiedy natomiast minie faza wrażliwości, zdobycze intelektu są wynikiem czynności refleksyjnej wysiłku woli, trudów badawczych: i z odrętwienia obojętności rodzi się znużenie pracą. Na tem polega zasadnicza, istotna różnica pomiędzy psychologją dziecka, a psychologją człowieka dorosłego.

Mamy przeto specjalną żywotność wewnętrzną, która wyjaśnia cud naturalnych zdobyczy dziecka. Jeśli natomiast w epoce wrażliwości zajdzie przeszkoda w pracy dziecka, występują u niego zaburzenia lub zniekształcenia i wtedy mamy duchowe męczeństwo, dotąd jeszcze niezbadane, którego poświadome piętno noszą w sobie wszyscy ludzie.

Praca rozrostu, t. j. czynego nabywania cech pozostała przez nas dotąd przeoczona, znamy natomiast z doświadczenia bolesne i gwałtowne reakcje dziecka, gdy przeszkody zewnętrzne hamują jego żywotną działalność. Nie znając przyczyn tych reakcyj, uważamy je za bezprzyczynowe, a opór dziecka stawiany naszym usiłowaniom uspokojenia go, uznaliśmy za kaprys. Tem nieokreślonem mianem nazwaliśmy zjawiska same w sobie wielce różnorodne. Za kaprys uważamy wszystko, co nie ma widocznej przyczyny, każdą czynność nielogiczną i nie poddającą się naszym napomnieniom. Stwierdziliśmy jednak, że niektóre kaprysy wykazują skłonność potęgowania się z biegiem czasu, co wskazuje na działanie stałych przyczyn, na które widocznie nie znalazły lekarstwa. Okresy wrażliwości mogą nam jednakże wyjaśnić wiele kaprysów dziecięcych: nie wszystkie, różne bowiem bywają przyczyny walk wewnętrznych, wie-

le też kaprysów jest skutkiem zboczenia z drogi normalnej, i potęguje się właśnie z powodu nieodpowiedniego obchodzenia się z dzieckiem. Lecz kaprysy, połączone z konfliktami wewnętrznemi w związku z okresami wrażliwości, są właśnie przemijające, jak przemijający jest sam okres wrażliwości i nie pozostawiają śladów w charakterze: natomiast bardzo poważnym ich skutkiem bywa niedostateczny rozwój, jako strata nie do powetowania w przyszłym utrwalaniu się życia psychicznego. Kaprysy okresu wrażliwości są zewnętrznym przejawem niezaspokojonych potrzeb, prawdziwym dzwonkiem alarmowym wobec wadliwych warunków i znikają bezwłocznie tam, gdzie udało się zrozumieć dziecko i uczynić mu zadość.

Wówczas widzimy, że dziecko bezwłocznie odzyskuje spokój, gdy przedtem było w stanie podniecenia, który może nawet przybrać formę choroby. Należy przeto koniecznie szukać przyczyny każdego przejawu dziecięcego, który my zwykliśmy nazywać kaprysem właśnie dlatego, że nie możemy ustalić jego przyczyny. Może to stać się dla nas przewodnikiem w przenikaniu w tajemnicze zakamarki duszy dziecięcej i w przygotowywaniu okresu porozumienia i spokoju w naszych stosunkach z dziećmi.

Dr. *Marja Montessori*

Smutna Pani Wesołego Dworu

Jak jasna gwiazda pierwszej wielkości błyszczał w 18-stem stuleciu dwór Ludwika XV polorem wdzięku, elegancji i dowcipu. Gdy który z młodych i bogatych arystokratów pragnął nabrać wielkoświatowej ogłady udawał się przedewszystkiem do Francji. Tam to, na dworze „najpiękniejszego„ z królów, można było usłyszeć nowe teorje Voltera i „panów filozofów", tam w „Grand Escalier des Ambassadeurs" odbywało się teatrum królewskie. Aktorami byli dworzanie, a sztuki, choć do swawolnej muzy należące, cieszyły ucho kunsztownie prowadzonym djalogiem miłosnym. Zwano je, od nazwiska autora „mariwodażami" i oklaskiwano mocno. Po ukończonem przedstawieniu rozpoczynał się zwykle bal, trwający do białego świtu, który znów przynosił ze sobą zapowiedź wspaniałych polowań w lasach Fontainebleau.

W tych nieustannych zabawach wiódł prym młody, piękny król oraz jego towarzyszka, zgrabna, w indyjskie muśliny przybrana, laleczką, „Królową rokoka" przezwana, zdawała się być niezrównaną w tańcu, w lekkiej salonowej rozmowie oraz... intrygach politycznych. W jej drobnych rączkach spoczywały faktycznie rządy nad państwem i słabym, a lekkomyślnym jego władcą. Pani d'Etioles, przezwana markizą de Pampadour, stała się od lat kilku nietylko jawną faworytą „une maitresse déclarée" ale istotną panią Francji, usuwając w cień tę, której skronie wieńczyła korona Burbonów.

Czemu tak się stało? Każdy dworzanin mógł opowiedzieć obszernie jak to królowa „z barbarzyńskiej Polski pochodząca" nie posiada zdolności „tenir la cour". Jest zbyt pobożną i surową. Nie uznaje kokieterji, potępia wolnomyślność i rozwody małżeńskie, każe myśleć o zbawieniu duszy. Czyż to wszystko możliwem jest w 18 stuleciu, epoce kochającej do szaleństwa ciało i wszelkie jego rozkosze!

Toteż dwór zasypiał z nudy na pokojach królowej. Obiady i wieczorne zebrania wlokły się bez końca. Piękne markizy i szarmanccy kawalerowie wymykali się zręcznie z sali; wokoło królowej pozostawało szczupłe grono jej przyjaciół. W ich też towarzystwie czuła się Marja Leszczyńska najlepiej.

Gdy patrzała na wierną przyjaciółkę, księżnę de Luynes lub oddanego sobie prezydenta Hénault, uśmiech jaśniał na jej twarzy. „Smutna królowa" o spłakanych powiekach wydobywała z dna duszy przytłumione przez życie wdzięki duchowe. Rozmowa toczyła się żywa i dowcipna, choć pozbawiona modnej „frivolite". Królowa umiała odjąć etykiecie jej sztywność, lubiła snuć swe dobroczynne plany, podnosić kwestje ogólnoludzkie lub sprawy nauki. Gawędzono tak swobodnie i przyjacielsko do 10 wieczór.

Z ostatniem uderzeniem zegara zwykła była Marja usuwać się do swych apartamentów. Było to kilka zacisznych pokoików, których okna wychodziły na podwórko i gdzie,

odrzuciwszy ciężki majestat można było przeobrazić się w zwykłą kobietę.

Starodawny klęcznik zapraszał do pobożnych rozmyślań. Tu, u stóp ukrzyżowanego Pana, otwierało się zranione serce kobiece, a dusza szukała otuchy.

W długich rozmowach z Bogiem rozpamiętywała Marja swe ciężkie życie. Dlaczego potoczyło się ono w ten sposób, czy jej winą była płochość męża i to wzgardliwe odwrócenie się od żony? Wszak oddała królowi gorącą i pierwszą miłość!

Gdy wyrokiem losu, ona córka wygnańca wybraną została na panią Francji, nie przyszłe zaszczyty, a wizerunek młodzieńczego oblubieńca stał się jej szczęściem i otuchą. Był tak pięknym, zdawał się tak szlachetnym, że serce królewny pokochało go od pierwszego wejrzenia. Miłość ta była prosta i cichą jak prostą i szczerą była jej dusza. Czyż dziwić się trzeba, że na dworze zepsucia, intryg i sztywności, zdawała się ona czemś śmiesznem?

A przecież on, ten ukochany, wiernym był przez pierwsze lata małżeństwa. Jej winą i grzechem ciężkim, że pozwoliła mu odejść na zatracenie duszy. Zbyt nieśmiałą miała naturę. W pierwszych latach nie potrafiła wyrazić mężowi ogromu swej miłości. Później, gdy znudzony milczącą żoną, szedł do innych kobiet, gdy widziała, że wątłe uczucie jego gaśnie, a dwór cały patrzy na to drwiąco, nie umiała obronić miłości, nie potrafiła zamknąć ust złośliwych. Milcząc konała z bólu.

Gdy w drogiej sercu Polsce toczył się bój, a ukochany ojciec czekał pomocy, gdy Francja zwlekała z nią, nie zdołała dopomóc królowi Leszczyńskiemu, choć wylałaby ostatnią krwi kropelkę, aby ozdobić drogie skronie koroną Piastów.

Tak szły lata. Powoli odsuwała się od dworu, od ludzi co nie oszczędzili jej żadnej goryczy, ani upokorzenia. Więc czuła się winna za to opuszczenie stanowiska monarchini. Jej miejsce bowiem zajęła bezprawnie kobieta zła i przewrotna, a dwór jął się toczyć ku przepaści. Rozpusta, podawszy rękę marnotrawstwu, zdała się szydzić z głodu i nędzy panującej w kraju. Wokoło tronu począł się unosić opar nienawiści i żądzy odwetu. Odczuwa już sercem struchlałem owe podziemne drżenia, pragnie coś działać, ratować.

Tak płyną zwolna godziny nocne królowej. Mała lampka migoce chwiejnym światłem, dobrotliwa twarz Chrystusa pochyla się z wyżyn krzyża nad klęczącą kobietą. Te półprzymknięte oczy zdają się patrzeć litośnie, zawarte usta mówią coć cicho i słodko. Marja rozumie ich wymowę: oto Pan rozkazuje jej niegodnej królować mnogim rzeszom nieszczęśliwych, ocierać łzy i łagodzić zadane krzywdy.

Ostatnie tony muzyki balowej błąkają się jeszcze po parku, gdy u wrót pałacowych zbierać się zwykł tłum szary i cichy. To „regiment de la reine", jak wzgardliwie nazwali dworacy oczekujących na codzienną zapomogę i ciepły kęs strawy.

Pomna na zlecenie Chrystusowe śpieszyła z pomocą zawsze i wszędzie. Sypały się z jej rąk daniny dla szpitali i przytułków, powstawały nowe fundacje.

Sława „dobroczynnej królowej" rosła i szła na cały kraj, jak długi i szeroki.

I lud francuski, ten głodny, pokochał polską królewnę miłością pełną czci. Gdy Marja ukazywała się publicznie mnogie rzesze cisnęły się aby ucałować skraj szat „świętej" pani. Jej dobrotliwość i łatwość podejścia jednały proste serca, „dobroczynność" królowej znana była całej Francji.

W przykazaniu „kochaj bliźniego", znalazła Marja pociechę na resztę ciężkiego życia. Dobroczynność jej rosła z wiekiem, na łożu śmierci troszczyć się jeszcze będzie o maluczkich, prosząc aby ją pochowano skromnie, a sumę przeznaczoną na uroczystość rozdano ubogim. Śmierć ubrała ją w apoteozę wielkości; ta skromna, niknąca w cieniu markizy de Pompadour, królowa, wyrosła nieomal na „świętą". Publiczne modły żałobne gromadziły tysiące wiernych. Kaznodzieje składali jej hołd, cała Francja płakała nad jej trumną.

Życzeniu królowej aby łagodzić krzywdy wyrządzone przez dwór, stało się zadość. Gdy Wielka Rewolucja podeptała majestat dynastji, legenda „świętej królowej" pozostała nietkniętą.

Przetrwała ona burzę dziejową i utrwalając się w sercach ludu, pozostała tam na zawsze, jako ostatnia legenda „ancien regime'u".

Ada Majewska

Jeszcze parę słów na temat „kobiecości"

Artykuł p. Marji Ankiewiczowej w Nr. 17 „Tyg. Kobiety" jest przykładem, jak trudno zmienić pewne szablony pojęć, któremi kobiety — nie tak dawno — walczyły o swoje prawa. Obecnie zgadzamy się niemal wszyscy, że wojujący feminizm już jest nieaktualny — że w ramach istniejących uprawnień kobieta może żyć swobodnie i samodzielnie. Jednak ukryta głęboko wrogość płci czasem przerywa tamy i wybucha pod postacią zarzutów i pretensyj, jeżeli nie bezpośrednio to pośrednio.

Autorka występując przeciw największemu, rzekomo, wrogowi kobiety — jej własnej niewolniczości uczuciowej, uderza w mężczyznę i w małżeństwo i uważa za rzecz zdumiewającą i tragiczną że „dzisiejsze nowoczesne dziewczęta wyznają głośno i otwarcie, że pragną wyjść za mąż — bo bez miłości dla nich pełnia życia nie istnieje".

Ależ o to właśnie chodzi! Niech będą wreszcie szczere, proste i normalne, niech osiągają pełnię życia, na którą składają się: praca i miłość. Oba te składniki są konieczne do pełnego wyżycia się tak samo zresztą jak dla mężczyzny. Jeżeli kobieta ponosi więcej trudów i więcej na nią spada obowiązków wynika to z jej naturalnego, biologicznego przeznaczenia.

Obie te dziedziny życia odpowiadają dwu elementom każdej jednostki ludzkiej — człowieczeństwu i kobiecości, ewentualnie, męskości. Wszystko co się zawiera w pojęciu człowieczeństwa, może się zmieniać, kształcić, udoskonalać — natomiast kobiecość, wypływa z instynktu, jest niezmienną naszą naturą, stworzoną dla własnych naturalnych celów, i im podległą: może tylko przybierać różne formy, zależne od cech indywidualnych i poziomu kultury.

Genjalne określenie dwóch płci, chociaż zbyt jednostronne znajdujemy u Wejningera w rozdziale o M. i K.).

Jeżeli istnieje tragizm — to tylko ukryty, wewnętrzny, w ciężkich zmaganiach się duszy kobiecej z jej godnością ludzką, w konfliktach uczuciowych, irracjonalnych, w których nikt nie jest winien, tylko się szuka namiętnie winy żeby znaleźć ulgę. Te walki i cierpienia są nieuniknione w życiu i może potrzebne żeby utrzymać w aktywności bierną w istocie naturę kobiecą i podnosić poziom jej człowieczeństwa. Musi ona sama rozstrzygać swoje osobiste sprawy, nikt jej tu pomóc nie może: rozstrzyga je tak, jak ją na to stać.

„Niewolnictwo" uczuciowe istnieje rzeczywiście jako jeden ze składników kobiecości ujawniający się w w różnym stopniu, ale czy nie jest ono podłożem tylu pięknych cech kobiet, które — nawet w naszych materjalistycznych czasach są wysoko wartościowe: delikatność, subtelność, łatwość poświęcania się, trwałość uczuć. Może tym cechom właśnie zawdzięczamy wielką różnorodność i bogactwo typów kobiecych — więc pocóż mamy dążyć do jednego szematu? A jeżeli się trafi (chyba rzadko), że jakaś żona szczęśliwa i kochana, bez wstrząsów i cierpień przejdzie przez życie, że ochraniana od trosk nie posiada dość samodzielności i wyrobienia, to jednak może tyle dawać wokoło siebie radości, dobroci, uroku — że nie powinniśmy ubolewać nad tem. Takie kobiety są jak kwiaty — wnoszą piękno w życie, a w rodzinę szczęście i harmonję.

Sądzę, że już nastał czas kiedy trzeba szukać możliwości porozumienia i zgodnego współżycia z mężczyzną skoro skazane jesteśmy na wspólne bytowanie na tym padole.

M. Rudoszańska

OKNO NA ŚWIAT

„Próbne wybory" kobiet w Paryżu

Jak wiadomo kobiety francuskie dotychczas nie uzyskały praw wyborczych. W chwili obecnej 15 miljonów kobiet we Francji domaga się tych praw, walcząc o nie różnemi sposobami.

Podczas ostatnich wyborów do parlamentu, które odbyły się w dniu 26.IV. b. r. kobiety nie mogąc występować oficjalnie, zorganizowały oryginalną imprezę „próbnych wyborów".

Wynik tych wyborów był bardzo pomyślny i ciekawy. Np. w jednym z okręgów wyborczych, obejmującym 37.000 gospodarstw domowych kobiety zdobyły 14.700 głosów, z czego 11.286 głosów padło na wysunięte kandydatki, 3.414 głosów wypowiedziało się ogólnie za prawem głosowania dla kobiet.

Ciekawym jest szczegół, że w owych „próbnych wyborach" nietylko kobiety oddawały głosy, ale również głosowali mężczyźni.

Większość głosów męskich pochodziła ze sfer robotniczych, poza robotnikami jednak w głosowaniu wzięli udział liczni przedstawiciele sfer burżuazyjnych.

Francuskie wojowniczki o prawa wyborcze z wyniku próbnych wyborów są bardzo zadowolone wysuwają z nich optymistyczne wnioski.

Córka lorda — panią posterunkową

Niezwykłe zdziwienie wywołuje ostatnio w Anglji decyzja Miss Honor Felicity Strong, która postanowiła zaślubić Williama Parkera.

Miss Strong ma lat 19, jest córką lorda, siostrą księżny Imeretyńskiej, była w zeszłym roku przedstawiona u dworu i posiada olbrzymi majątek.

William Parker jest młodym, przystojnym, eleganckim... policjantem.

Rodzina młodej panny próbowała wszelkiemi sposobami przeszkodzić „mezaljansowi". Ofiarowywano Parkerowi miljonowe sumy, aby tylko zrezygnował z małżeństwa. Ale Parker z oburzeniem odrzucił wszelkie oferty.

Młodzi ludzie znają się już 3 lata. Przeszli przez ogniowe próby i są pewni swoich uczuć. Londyn darzy wielką sympatją zakochanych. Ślub ich odbędzie się niebawem.

Czy jednak będą szczęśliwi? Czy nie nadejdzie chwila, gdy Miss Strong będzie się wstydziła tytułu „pani posterunkowej"?

Bo angielskie pisma ani jednem słowem nie wspominają, że przyszły małżonek angielskiej arystokratki zamierza po ślubie porzucić swój dotychczasowy zawód...

Triumf Jadwigi Jędrzejowskiej

Po długich i nieszczęśliwych do tej pory występach naszych sportowców na kortach tenisowych zagranicą, zwycięstwo uśmiechnęło się wreszcie do nas. Zawdzięczać je możemy najlepszej polskiej tenisistce, Jadwidze Jędrzejowskiej, która odniosła wielki sukces na mistrzostwach Węgier w Budapeszcie. Udało jej się bowiem zwyciężyć w finale „drugą rakietę świata", Amerykankę, Miss Jacobs.

Po niezwykle emocjonującej walce, której przypatrywało się tysiące widzów, Jędrzejowska wygrała 3 : 6 6 : 1, 6 : 0, demonstrując grę najwyższej klasy.

W grze mieszanej, mając za partnera Węgra, p. Ferenczy'ego, gracza przeciętnej wartości, zdobyła drugi tytuł mistrzowski.

Ale na tem nie ogranicza się sukces polskiej tenisistki.

Odwróciła się karta w dziejach sportowych. A pierwszy nasz sukces na forum międzynarodowem, zawdzięczamy kobiecie.

Karne kolonje dla kobiet

Departament Karny Min. Sprawiedliwości uruchomił przed dwoma laty tytułem próby kolonję rolną dla więźniów. Ponieważ wyniki były doskonałe, obecnie projektuje się otwarcie pierwszej kolonji karnej dla kobiet. Kolonja ta mieścić się będzie w Walendowie (pow. błoński).

W kolonji mają być umieszczane kobiety, które po raz pierwszy znalazły się w konflikcie z kodeksem karnym i zostały skazane na 6 miesięcy do 5 lat więzienia. Wiek ich ma się wahać od lat 17-tu do 30-tu. Opiekować się niemi będą zakonnice.

W Walendowie będzie 150 miejsc. Kolonja posiada 16 włók, z czego 15 morgów ogrodu warzywnego i owocowego. Oprócz pracy w ogrodzie, więźniarki będą pracowały w warsztatach. Naturalnie praca na roli lub w warsztatach będzie przymusowa.

Celem Ministerstwa jest zabezpieczyć kobiety od styczności z przestępczyniami karanemi wielokrotnie, i od zgubnego wpływu, jaki wywierają recydywistki na młode dziewczęta.

Naturalnie w kolonji karnej w Walendowie ma obowiązywać normalny rygor więzienny.

Kobieta ministrem

Nawet we Francji powiał wiatr postępu. I przy tworzeniu nowego gabinetu nie jest wykluczonem, iż jedna z tek ministerjalnych przypadnie w udziale kobiecie.

W kołach parlamentarnych twierdzą, że pierwszym ministerm „w spódnicy" będzie p. Germaine Picardhoche, która obejmie tekę ministerstwa Zdrowa Publicznego.

O ile pogłoski, obiegające sfery zbliżone do kół miarodajnych potwierdzą się, niewątpliwie p. Picardhoche spełniać będzie swoje obowiązki niegorzej niż mężczyźni.

Argus.

WOJENKO WOJENKO....

2. *KARTKI Z PAMIĘTNIKA MATKI*

Ciemno już było zupełnie, gdy wrócił Marcin. Słysząc jego ciężkie kroki umilkliśmy oboje, zgodnie postanawiając przygotować niespodziankę. W jadalni rozległ się głęboki, niski głos Marcina.

— Marto, upolowałem... gdzie jesteś Marto?

Tadzik nie wytrzymał, młodzieńczym, dziecinnym prawie głosem krzyknął:

— Mamusia jest w saloniku.

Marcin poczerwieniał, upuścił dubeltówkę poczem wpadł do pokoju, zbladł gwałtownie i obejmując jasną głowę Tadzika rozpłakał się. Przez łzy tamowane usłyszeliśmy urywane słowa. — Tadzik, moje dziecko, Tadzik.

We troje zasiedliśmy do wilji. Przez dwanaście wilji następnych zasiadaliśmy z Marcinem tylko we dwoje. Godzinę przed pasterką siedziałam z Tadzikiem w saloniku. Siedzieliśmy tak samo, jak w dzień jego wyjazdu na front, przytuleni, szepcąc sobie poufne zwierzenia. W pewnej chwili Tadzik podniósł na mnie oczy i odezwał się:

— Madzia będzie na pasterce?

— Tak, mój Tadziku, z pewnością będzie. — A potem czytając w myślach jego dodałam: — Zaprosimy ją na jutro wraz z ciocią Anią.

Uścisnęliśmy się w milczeniu. Tadzik błogo się uśmiechał, snując wątek jakichś myśli tajnych, a naedwszystko słodkich. Drzewo trzaskało na kominku. Ciszy, która zalegała, głos żaden nie przerywał, aż dopóki zegar nie zadzwonił trzy razy. W drzwiach saloniku stanął wówczas Marcin i ozwał się:

— Za kwadrans dwunasta, pora nam iść na pasterkę.

ROZDZIAŁ IV.

Wiedziałam, że jeżeli spadnie na nas ten cios najstraszliwszy Marcin jest na niego daleko mniej przygotowany ode mnie. Od chwili, gdy Tadzik poszedł na front żyłam w ciągłej świadomości, że wiadomość taka właśnie nadejść może. Wiedziałam, że jak przyjdzie, Marcina zastanie nieprzygotowanego zupełnie. Marcinowi wydawało się, że każdego może woina zabić tylko nie Tadzika. A jednak Tadzik nie żyje.

Któregoś dnia wrześniowego, gdy siedzieliśmy oboje z Marcinem na ganku, przyniesiono wiadomość z pułku, że Tadzik nie żyje. Komunikat brzmiał:

„15-go września zginął w okolicach Kaniowa podchorąży Zawadzki Tadeusz.

To był nasz Tadzik właśnie.

Nie wiem, jak to było, ale lotem błyskawicy wiadomość rozeszła się dokoła. Pierwsza przybiegła Madzia. Rzuciła mi się na szyję potem usunęła się na ziemię i ciemną głowę tuląc do moich kolan mówiła: — Najdroższa mamo nas obie jednakowy cios spotkał.

Jedyny raz wówczas mnie tak nazwała. Usta Tadzika zasypane były ziemią i nigdy już żadne usta mnie tak nie nazwały. Ale Madzia nie powiedziała wówczas prawdy, nie spotkał nas cios jednakowy. Potem przyszedł proboszcz, stary Zaręba i ciocia Ania. Proboszcz mówił, że życie całe nasze jes tak krótkie wobec wieczności, że cały nasz ból zniknie w jednej chwili szczęśliwości wiekuistej, że krzyż, który tu Bóg zsyła, otwiera nam drogę do światłości wiecznej. Wznosił oczy do góry, składał ręce, ściskał Marcina. Patrzałam na niego nie rozumiejąc co mówi. Chciałam go prosić żeby odszedł, ale czułam się tak słaba, że nawet wypowiedzenie kilku słów, wydało mi się wysiłkiem ponad siły. A oni nie odchodzili. Ciocia Ania całowała mnie po twarzy. Madzia trzymała ciepłemi palcami moje zimne ręce. Tylko Marcin, ten silny Marcin, który przez tyle lat tak wiernie czuwał nade mną i opiekował się mną, siedział teraz jakby zapomniał o mnie, siedział jak umarły, oczyma niewidzącemi patrząc w przetsrzeń jesiennego ogrodu. Potem proboszcz szedł do Staśki i coś jej mówił. Zaręba szeptał z ciocią Anią. Siedzieli jeszcze ciągle i coś mówili. Wreszcie odeszła pierwsza ciocia Ania ciągnąc przemocą z sobą Madzię. Potem odszedł proboszcz, a na końcu oglądając się jeszcze raz po raz Zaręba. Siedzieliśmy z Marcinem długie godziny. W pokoju ciemniało z chwili na chwilę coraz bardziej.

W którejś godzinie Marcin wstał przeszedł pokój i schylił się nad papierem, który spadł ze stołu i odcinał się na ciemnej podłodze jaśniejszą plamą. Nie zapomnę nigdy, jak drżała ręka Marcina, podnosząca papier, leżący na ziemi. To właśnie była wiadomość, którą kilka godzin temu otrzymaliśmy z pułku. Zrobiłam tylko słaby ruch ręką ale Marcin go nie zrozumiał, bo podszedł i usiadł przy mnie.

Na świecie zapadła zupełna noc.

ROZDZIAŁ VI.

Musiałam się zobaczyć z dowódcą Tadzika. Dowiadywałam się gdzie stoi jego pułk i pojechałam tam. W wojsku panowało wówczas jakieś rozprężenie, spowodowane upajającem zwycięstwem. Był to czas, w którym żołnierzowi wolno było wszystko. Był on bohaterem, bożyszczem tłumu. Oficerowie pili i szaleli chcąc powetować czas wojny. Nie pamiętam drogi, którą jechałam, ani zabiegów, które czyniłam, aby zobaczyć się z dowódcą. Wszystko, co było przedtem roztapia się w myśli mej w jakimś chaosie, w którym widzę pociągi pełne wojska, stacje, kołatanie do różnych kancelaryj wojskowych i nagle cały ten chaos przecina jak błyskawica ciemny horyzont, moment, w którym znalazłam się twarzą w twarz z dowódcą Tadzika.

Naprzeciw mnie stał młody oficer ułanów. Grzecznie poprosił bym usiadła w fotelu. Sam siadł przy biurku naprzeciw mnie. Przez chwilę milczałam. Widziałam tylko ponad biurkiem jasną, jak u mego Tadzika czuprynę oficera i jego twarz młodą o wyzywającej, junackiej minie. Z odrętwienia mego wyrwał mnie jego głos:

— Czem mogę pani służyć?

Odezwałam się obcym głosem, sama dziwiąc się słowom, które ktoś, jakby nie ja, wymawiał: „Jestem Zawadzka. Mój syn, Tadeusz Zawadzki zginął 15-go września w okolicach Kaniowa. Czy mogłabym się dowiedzieć szczegółów w jakiej bitwie poległ, czy i gdzie jest pochowany".

Porucznik zastanowił się, potem służbowym, obojętnym głosem przemówił:

— Tadeusz Zawadzki, tak był w moim szwadronie. O ile sobie przypominam, nie w bitwie poległ. Był wysłany z drugim żołnierzem do sąsiedniej wioski po aprowizację i chłopi ich zabili. Zdaje się, że to tak było.

Wtedy odezwałam się lodowatym głosem: Może pan porucznik zechce sobie dokładnie przypomnieć.

Musiało być w moich słowach, czy w moim głosie coś, co przedarło mur obojętności oficera bo poczerwieniał nagle i odezwał się:

— Ja go pamiętam, to był bardzo miły żołnierz, zawsze go bardzo lubiłem.

Te słowa były dla mnie stokroć gorsze od poprzednich, tchnących taką zupełną obojętnością, uczułam, że blednę i z ostatnim wysiłkiem jeszcze odezwałam się:

— Panie poruczniku, jeszcze raz proszę, zechce mi pan powiedzieć szczegóły jego śmierci?

Wtedy on poraz pierwszy uważnie na mnie spojrzał, przez chwilę zastanawiał się ze ściągniętemi brwiami,

potem tonem, w którym poraz pierwszy odczułam, że mówi o moim Tadziku nie jak o sprzęcie wojennym, lecz o żywym człowieku, zaczął mówić:

— Staliśmy wówczas kilkanaście kilometrów od Kaniowa. W naszej wsi zjedliśmy już dosłownie wszystko. Zapasy się skończyły. Nie było już nic ani dla nas, ani dla koni. Wysłałem wówczas jego — Tadeusza Zawadzkiego — z drugim żołnierzem po aprowizację do sąsiedniej wioski. Nie wrócili. Na drugi dzień cały szwadron przekwaterowywał się i przechodziliśmy przez wieś, do której obaj byli wysłani. Obydwóch żołnierzy znaleźliśmy nieżywych przy drodze.

— Czy oni co chłopom zawinili? — spytałam.

— Im specjalnie nie, ale trzeba zrozumieć, że chłopi cierpieli nędzę okropną i żołnierz, który wyrywał im i ich dzieciom przemocą dobytek, by sam ratować się od śmierci głodowej, chłopów skazywał na głód najokropniejszy, był wrogiem dla nich bez względu na to, w jakiej służył armji. To też gdy chłopi dopadali pojedyńczych żołnierzy, mścili się za całe rodziny i wioski zagłodzone i zniszczone. A zatem — ciągnął dalej — chłopów dwóch, którzy podobno ich zmasakrowali, moi żołnierze sprzątnęli.

Obojetnym głosem spytałam:

— Zmasakrowali?

— Tak odpowiedział porucznik. — Byli mocno zmasakrowani. Poznaliśmy ich po naszywkach na mundurach, że z mojego są szwadronu.

Spytałam dalej głosem umarłym, w którym nie zdradzało się najmniejsze wrażenie:

„Czy ich tak męczyli, aż na śmierć?"

Twarz porucznika zmieniła się trochę, gdy wymiawiał te słowa:

„Tadeusz Zawadzki miał bok nabrzmiały i czarny, jakby od uderzenia kolbą. To go prawdopodobnie zabiło, lub conajmniej ogłuszyło, tak, że był zemdlony, lub nieżywy, gdy chłopi go masakrowali."

(D.c.n.) *Jadwiga Żylińska*

PRZYGODA

NOWELA.

Wróciłam z biura zmęczona więcej niż kiedykolwiek.

Nie mogę teraz pracować, nie myślę o tem co robię.

Myślę tylko ciągle o tobie, o nas. O nas. Że już nigdy nie powiem: my. Że już nigdy nie powiesz do mnie: moja maleńka. Nie wiedziałam, że tak trudno przenieść rozstanie, nie mogę w to uwierzyć, że już naprawdę jesteś dla mnie stracony!

Siedzę w małym, obcym teraz, smutnym pokoju Ukryłam twarz w dłonie, powtarzam prawie na głos:

— Nie rozpaczaj. On nie wart twego uczucia. Zdradził cię, okłamał. Nie możesz go kochać. Odszedł do innej, do starej. bogatej kobiety! Rozumiesz? Koniec. To wszystko było kłamstwo.

Okno jest szare. Meble kostropate i bezkształtne. Fotel obojętny i zły. Złośliwie syczy płomień pod spirytusową maszynką. Ironicznie uśmiecha się portret pięknej pani. Zimno, pusto, nie do zniesienia.

Uciekłam z pokoju, który przestał być moim ukochanym kątem odkąd przestał być naszym pokojem.

Na ulicy mgła, błoto. Ciemne, ruchliwe sylwetki ludzkie krążą we wszystkie strony. Auta rozchlapują wielkie kałuże, wiatr kołysze zaspane głowy latarni.

Idę przed siebie, prędko. prędko, bez celu. Gna mnie rozpacz. Wtuliłam szyję w kołnierz, dłonie załamałam w mufce aż do bólu, rozdeptuję z pasją tłuste błoto trotuarów. Drażnią mnie kolorowe, natrętne neony reklam, straszy jazgot sygnałów, oburza uśmiech na twarzy przechodnia. Dalej, dalej! Nie chcę wracać do domu, niema dla mnie miejsca, gdzie zostałabym chętnie i nie płakała z bólu.

...Spojrzenie najjaśniejsze: moja maleńka, ...Szept najgorętszy: moja maleńka... Nierealne marzenia, realne projekty, radość życia. To wszystko połamałeś, to wszystko zdruzgotałeś, ty — mój bóg...

Coraz mniej świateł, coraz mniej ludzi, wąskie ulice puste place. Ile czasu idę? Gdzie jestem? Wszystko jedno, wszystko jedno!

Z niskich drzwiczek chlusnęło na kostropaty bruk jasne światło, ciężki kształt zakołysał się pod ścianą. Uderzyła w twarz melodja: „Dlaczego mnie zdradziłaś?" Głupie, ckliwe tango.

Teraz uciekam od siebie i od natrętnej melodji — wypłynęła z drzwi małego szynku i wlecze się za mną. Skręcam gwałtownie w boczną uliczkę. Tu cicho, pusto, żadnego odgłosu życia.

Razem z fizycznem zmęczeniem. które zaczynam odczuwać przychodzi opamiętanie, jakiś zrezygnowany spokój.

Zwalniam kroku. Musi już być bardzo późno. Odruchowo wysuwam z pod mankietu zegarek — nie widać, ciemno.

Dojdę jeszcze dalej, do placu, gdzie świeci się jedna latarnia.

Nagle ciszę przerywa gwizdek, jeden, drugi, Potem czyjeś nawoływania, krzyki. Gwar narasta szybko. Staram się zorjentować o co chodzi. Acha, gonią złodzieja.

Z blado oświetlonego placu wpada wprost w moją uliczkę, mała dziewczynina... ledwie dyszy, przyciska coś kurczowo do piersi... śmiertelnie wystraszona...

Nigdy potem nie mogłam sobie uświadomić jak to się stało. Zdecydowałam się w ułamku sekundy: wepchnęłam dziewczynkę do pierwszej. ciemnej bramy, krzyknęłam: „siedź cicho!", zamknełam klamkę, — oni tego nie mogli jeszcze widzieć, — a sama podjęłam ucieczkę.

Ten szalony bieg dał mi nieznaną emocję! Tupałam głośno obcasami, ślizgałam się po błocie, myślałam przez tę parę chwil tylko o tem, czy uda mi się uratować biedną. małą złodziejkę...

Szybko mnie dogonili, policjant, paru andrusów. trochę gawiedzi. Mocna. żelazna dłoń chwyciła mnie za ramię:

— Gdzie futro?

— Jakie? Proszę mnie puścić.

Byłam bardzo zmęczona, ręce mi dygotały.

Chłopcy przyglądali mi się.

— Jako to dama! Elegantka! Złodziejka!

— Gdzie masz lisa?

—Jakiego lisa?

Musiałam mieć rzeczywiście nieprzytomną minę bo jeden chłopak powiedział pogardliwie:

— To pewno warjatka.

Otoczyli mnie kołem. Jacy zabawni! Czyż chciałabym uciekać? Było mi przecież tak wszystko jedno! Miałam wrażenie zresztą że to sen, że zaraz się zbudzę.

Zaturkotała jakaś dorożka, zatrzymała się gwałtownie.

Wytoczyła się z niej tęga kobieta i zaczęła piszczeć dyszkantem, zła, zadyszana:

— Jest! Jest! Złapali! A to skandal! Gdzie mój lis? Coś okropnego! Panie posterunkowy, gdzie moje futro?

— Niema. Pogadamy w areszcie!

Przybywało gapiów. Ktoś ciekawy spytał się troskliwie:

— Co się stało?

Pokrzywdzona dama wyjaśniała gorliwie:

— Miałam lisa, prawdziwego, srebrnego lisa! Przewiesiłam przez ramię... coś okropnego... wychodzę z bramy, z wizyty, ciemno na ulicy... mówiłam żeby nie jeździć po tych zaułkach! Wiec wychodzę i w jednej chwili czuję, że mi ktoś lisa ściągnął z pleców... ta złodziejka, zaczaiła się... coś podobnego! W jednej chwili! Musiała wypatrzeć! A teraz schowała! Skandal!

Piskliwy, zły głos drapie po skórze. Śmieszna, wystrojona paniusia przyskakuje do mnie z pięściami. Potem krzyczy w stronę dorożki:

— A mówiłam ci żeby nie odwiedzać tych twoich znajomych na przedpieklu! Chodź, Romek zobacz, powiedz jej co!

Ktoś wysiada powoli z dorożki. Jakiś wysoki mężczyzna w miękkim kapeluszu. Perswaduje niechętnie:

— To już pan posterunkowy załatwi, jedźmy, Maniu...

Czyżbym się przesłyszała? Romek — ten głos — Boże! To ona? To oni?...

Czuję, że wszystka krew odpłynęła mi z twarzy. Serce zamarło. Jestem nagle strasznie, nieludzko zmęczona. Stoje tu chyba całe godziny! Nie mam siły już stać! Boję się obejrzeć za siebie. Ludzie, domy, ulicę zasnuwa gęsta mgła. Już nic nie widzę...

Gdzieś, z przestrzeni dochodzi mojej świadomości dobrze, o, jak dobrze znany głos:

— Nie denerwuj się, Maniu... Wracajmy, m o j a m a l e ń k a...

Zakryłam twarz rękami. Nie miałam już siły — chyba wieki stałam tu na pośmiewisku!

Kolana ugięły się podemną. Straciłam przytomność.

Jadwiga Korczakowska

IZABELLA LUTOSŁAWSKA

Patrzę na filigranową postać p. Izy Lutosławskiej, która wyraźną sylwetrą rysuje się przed mojemi oczyma na tle własnego domu.

Wnętrze jej nosi wyraźne cechy indywidualnego cahrakteru na który składają się dwa przedziwnie splecione ze sobą elementy: mistyczny i wielkoświatowy.

I właśnie to natarczywe skojarzenie narzuca mi się przemożną siłą poprzez cały czas naszej rozmowy.

— Spotkałyśmy się poraz pierwszy trzy lata temu, w Warszawie, na wieczorze literackim poświęconym „Córce". Dyskusja była bardzo ożywiona, a zdania rozbieżne...

— Pamiętam, pamiętam — mówi p. Lutosławska. Jej wielkie, orzechowe cozy patrzą wdal, jakby w niej pragnęły odszukać dawno minione obrazy — pamiętam nawet co pani wtedy mówiła!

— O, to gorzej! Bo moje przemówienie nie uzyskało popularności. Broniłam Zazę...

— Tak. I właśnie przez tę żywiołową i bezinteresowną obronę stała mi się pani dziwnie bliska.

Atmosfera przyjaznego ciepła i ufności idącej od p. Lutosławskiej, kładzie pomost porozumienia. I raczej poprzez tę atmosferę, — nieraz drobny, a jakżeż wymowny gest, lub nieoczekiwany błysk w oczach, — raczej przez to wszystko, aniżeli wymieniane słowa, kształtuje mi się psychika autorki „Państwa Bobrowskich" i dwóch poprzedzających tomów.

Ten żywiołowy, jak proch zapalny temperament osłania napozór miękki, jedwabisty oprząd chrześcijańskiej pokory; z jakimż zdziwieniem poprzez rozsuwające się gdzie niegdzie nitki tej otoki pajęczej, dostrzec można żealzną siatkę pancerza, który jest wykuty z w o l i. Takim to dziwnym splotem umacniających się wzajemnie kontrastów jawi mi się Izabella Lutosławska.

— Tempo, w jakiem pisze pani tę „powieść w czepku urodzoną", jak się o niej wyraził Grzymała-Siedlecki, jest niepraktykowane!

— Tak szybko szło! „Córka" ukazała się w 1933 r.; „Małżeństwo Zary" w roku 1934; a „Państwa Bobrowskich" zaczęłam drukować w „Kurjerze Warszawskim" już 1-go stycznia 1936.

— Ale to nie jest początkiem pani karjery literackiej?

— Nie! „Bolszewików w polskim dworze" napisałam na gorąco, a „Perzyński i Niklewicz" wydali mi to w 1921 r.

— „Na gorąco" to znaczy, że dzieje tego polskiego dworu przeżyła pani osobiście?

— O tak, i wiele, wiele innych...

Rozmowa nasza nabiera niepostrzeżenie głębokich tonów wspomnień wspólnie wykrystalizowywanych z przeszłości.

Dowiaduje się, iż dzieciństwo i młodość upłynęły p. Lutosławskiej w nieustannych podróżach pomiędzy Hiszpanją, Anglją i majątkiem rodzinnym.

Ojciec, znakomity uczony polski, filozof, ożenił się z młodziutką poetką hiszpańską — Sofię Casanova, dziś narodową dumę Hiszpanji.

W pewnej chwili p. Lutosławska wyciąga rękę po stojącą na kominku fotografję.

— Oto moja matka! — jakaż głębia uczuć brzmi w jej głosie.

Z portreciku wyłania się ku mnie czarująca postać hiszpańskiej arystokratki.

Liczne i częste podróże nie osłabiły jednak węzłów łączących Izabellę Lutosławską z krajem. Do rodzinnego Drozdowa wracała zawsze z tęsknotą i radością.

Tak było i w marcu 1914 r.; lecz na jak krótko! Wojna europejska przerzuciła niespodziewanie rodzinę państwa Lutosławskich do Rosji.

Tam trzyletni pobyt, męczeństwo, powrót do kraju po stracie dwóch braci. ...Koszmar na jawie.

Samodzielność i przedsiębiorczość p. Izabelli Lutosławskiej ujawniły się nagle i niezawodnie po zamieszkaniu w Drozdowie poraz wtóry, kiedy zaprowadziła tam własną, racjonalną hodowlę trzody.

Przedsiębiorstwo to stało się przez czas pewien podstawą egzystencji całej rodziny.

Inwazja bolszewicka w 1920 r. zastała p. Lutosałwską w opustoszałym

dworze. Jedynie babka i nauczycielka pozostały wraz z dzielną i wytrwałą panną.

Szereg tygodni trwano tam pod grozą śmierci, ale nieustraszone kobiety — wytrwały!

Rycerskie cnoty drzemiące w żywiołowym temperamencie p. Lutosławskiej są dla mnie odkryciem zgoła naturalnem.

Gdy patrzę na tę drobną postać kobiecą, wskrzeszającą wspomnienia owych groźnych przeżyć, odżywają w mej pamięci słowa skreślone również przez Grzymałę - Siedleckiego, o Izabelli Lutosławskiej w związku z jej książką: „Bolszewicy w polskim dworze"; jej przypadło w udziale reprezentować honor ojczyzny. Nie splamiła go małodusznością. Została we dworze. W tej determinacji było bohaterstwo!"

Odparcie bolszewików w sierpniu 1920 r. położyło kres tej męce. Było wyzwoleniem. Pierwszą uzyskaną lokomocją przyjechała dzielna bojowniczka do Warszawy. A lokomocją tą był samochód szefa sztabu Armji 5-ej, pułkownika Romualda Wolikowskiego, z którym po tak dziwnie i poetycznie zawartej znajomości p. Lutosławska wzięła ślub w niespełna pół roku.

— I nareszcie fala przeciwności odeszła!

— Myli się pani. W tydzień po ślubie wyjeżdżalśmy... do Rosji. Mąż mój wyznaczony rozkazem wojskowym musiał jechać, a ja mu towarzyszyłam. Na całe dwa i pół lat! Był to dla nas bardzo ciężki okres i połączony z niebezpieczeństwem. To też jedyną prawie kobietą wśród dyplomacji w Moskwie byłam ja właśnie. W Rosji też oceniłam potęgę modlitwy.

Spoglądam mimowoli na biurko i spostrzegam szereg książek do nabożeństwa ułożonych w rząd. P. Lutosławska podchwytuje moje spojrzenie, bierze pierwszą z brzegu do ręki i przerzuca pożółkłe zwiotczałe kartki.

— Spracowane stronice, nieprawdaż? — mówi z rzewnym uśmiechem.

A ja nagle doznaję olśnienia. Ileż ta drobna postać o matowej skórze i nieoczekiwanych błyskach gorących oczu i białych zębów — ileż ma w sobie klasztornej zadumy. Cicha skupiona mniszka.

Widać wrażenia moje są nazbyt wymowne, gdyż p. Lutosławska śmieje się serdecznie, a zarazem pojednawczo.

— Za chwilę czuję, że powie pani, tak jak mój młodszy syn. Grzegorz: „postać mamusi ma charakter taki religijny". — A przecież to nie suknie, bo nie jestem zakonnicą. To tylko możność bodaj chwilowego odejścia od świata przez modlitwę pozostawia ten ślad.

— Mają państwo dużo dzieci?

— Dwóch synów, Andrzeja i Grzegorza.

— A więc małżeństwo i macierzyństwo odciągnęły panią aż na dziesięć lat od literatury?

— O! nietylko to! — żywo zaprzecza p. Lutosławska, jakby w obawie aby ci najdrożsi ani przez chwilę nie poczuli na sobie brzemienia najmniejszej odpowiedzialności — pochłaniała mię i praca inna.

Wiem, że p. Lutosławska zapamiętale pracowała i pracuje dla polskiego żołnierza. Wojsko — to jej żywioł. Kocha je. Jest nawet odznaczona honorową odznaką 59 p.p., wręczoną jej przed frontem przez Inspektora Armji.

Kieruję więc rozmowę na tory wojskowości. Po twarzy Izabelli Lutosławskiej przebiegają nowe, nieznane mi, radosne błyski.

„O dumo, największa dumo
po nocy w czarnej mogile.
Kiedy szeregi twe suną
Potężną czujemy siłę..."

Mówi z porywem swój własny wiersz do żołnierza. I to mi starczyć musi za całą odpowiedź. Bo to jest teraźniejszość Izabelli Lutosławskiej, do której nikt niema dostępu. Natomiast przeżyciami, które zakwalifikowała do przeszłości, dzieli się serdecznie i z prostotą.

— Ostatnio nieledwie wyłącznie żyłam moją powieścią, a raczej jej trzecim tomem.

Słowa te przywołują mię do rzeczywistości.

Nieomal zawstydzona, staram się od fascynującego typu niepospolitego człowieka przejść do literatki, która właściwie powinna pochłonąć moją uwagę.

— Tak, typem Zazy wzburzyła pani umysły ludzkie. Czy można zapytać po jakiej linji rozwinie pani ten problem, który wydaje mi się w powieści, jako najistotniejszy—problem przeszłości w życiu jednostki?

— Otóż to! W tem ujęciu odczuwam bliskość pani. Moja książka poza odbiciem wiernem i bez grubego morału współczesnej nam obyczajowości, pragnie utwierdzić czytelnika w przekonaniu, że poszczególne fazy życia jednostki nie są luźnemi epizodami niepowiązanemi między sobą, które od nas odpadają bez śladu.

Nie, każda epoka: dzieciństwa, młodzieńczości, dorosłości, czy wieku średniego, stanowi kolejny etap w całości naszego rozwoju, którego wartość uzależnia się ściśle od fundamentu, na jakim się rozbudowuje.

— Rozumiem teraz paniczna ucieczkę Zazy od przeszłości. Tylko biedna Zaza, od swej znienawidzonej przeszłości nie umie odejść, bo nie szuka oddalenia na najprostszej drodze — przeistoczenia, przepracowania własnej psychiki. Kapryśna Zaza raczej się niecierpliwi, że na jej skinienie owa przeszłość nie zapada się natychmiast pod ziemię.

— Ona ją raczej osacza ze wszystkich stron zwartym i coraz ciaśniejszym pierścieniem — głęboki głos p. Lutosławskiej brzmi nutą wyroku.

— Co pani z nią uczyni z tą Zazą?

— Niech pani sama osądzi. Tu są listy żądające napiętnowania; a tu nie mniejsza ilość pragnących obrony.

Biorę najbliżej leżący list. Jest to list pewnego posła polskiego zagranicą. Czytam: „żona prosi o wielką surowość, a ja o pobłażanie dla tej uroczej, młodej kobiety".

A więc i tu nawet obie opinje spotkały się na jednej płaszczyźnie.

— Myślę, że Zaza w samej sobie odnaleźć musi obronę przeciwko przeszłości. Jeśli jej nie odnajdzie — zginie! A karać ją byłoby okrucieństwem, bo dostatecznego wymiaru sprawiedliwości udziela jej życie samo, przez swą nieubłaganą, żelazną konsekwencję.

— Ma pani słuszność, ma pani słuszność — szepcze p. Lutosławska, patrząc ku mnie przyjaźnie i jakby z odrobiną nieuchwytnej wdzięczności za obronną postawę, jaką zajmuję w stosunku do jej bohaterki.

Marja Ankiewiczowa.

Toruń 1936 r.

NAD WODĄ SZUKAMY WYPOCZYNKU

Zagubieni w zawrotnem tempie życia, w walce o zaszczyty, o złoto, o kęs codziennego chleba, lub o prawo do życia, jakże dalecy jesteście dobra i piękna.

Nak głowami Waszemi szaleje miasto-potwór. Wysysa krew, szarpie nerwy. A tuż obok zapomniana, czeka dobra matka - przyroda.

Chodźcie do niej! Błękitną wodą ochłodzi Wasze rozpalone skronie, słońcem wyzłoci Wam drogę, ciszą lasu ukoi nerwy.

Nad skołataną Waszą głową bratsłowik wyśpiewa wielką pieśń miłości, a u stóp Waszych dojrzeje siostra-jagoda.

Odpadną od Was szare troski, złe myśli, dręczące zwątpienia. Staniecie się lepsi.

Zrozumiecie piękno i radość istnienia.

. . . .

Opustoszeją duszne lokale miasta, mole nadgryzą sukno zielonych stolików. Wszyscy pójdziemy na wodę po zdrowie, po radość życia, po siłę wytrwania!

(„Kajakiem z Warszawy" — Marja Podhorska-Okołów).



Wszyscy pójdziemy na wodę....

Męczy w lecie miasto. Rozpalone mury, rozmiękły asfalt, spocone twarze i bolące rozgrzane stopy zmuszają do szukania ucieczki. Prawdziwy odpoczynek znajdziemy tylko nad wodą, na wodzie i w wodzie!

Spokojny prąd rzeki, jej powierzchnia drgająca w słońcu srebrem łusek, wpływa kojąco na zmęczony organizm. Wiatr od wody mile chłodzi — zwolna mija znużenie i apatja. Znajduje się nawet energja do pracy przy wiośle. Wychylenia ciała, równy plusk wioseł, i łódź szybko posuwa się naprzód.

Wiosłowanie w „czwórce" czy w „ósemce" daje wielką przyjemność rytmicznego zbiorowego wysiłku. Jest to jeden ze zdrowszych sportów, poleconych przez lekarzy, rozwijający równomiernie mięśnie całego ciała.

Wypłynięcie na „szerokie wody" musi być jednak poprzedzone treningiem na aparacie (jest to rodzaj krypy utwierdzonej przy brzegu na stałe, ale z prawdziwemi, ruchomemi siodełkami i z dulkami na wiosła).

Nauka wioślarstwa i uprawianie jego w Warszawie dostępne są tylko dla członków Klubów posiadających swoje przystanie.

Kajakarstwo jest bardziej dostępne, nie wymaga specjalnej nauki. można prędko opanować obchodzenie się z dwustronnem wiosłem.

Kajak jednak jest bardzo wywrotny, to też umiejętność pływania jest tu bezwzględnie konieczna. Zawczasu więc warto pomyśleć o tem, i korzystać już w zimie i na wiosnę z krytych basenów dla zdobycia sztuki pływania.

Kajakarstwo w ostatnich latach ogromnie się rozpowszechniło.

Pozory łatwego wiosłowania i pokusa słońca i wody ściągają na kajaki wielu niewysportowanych mieszczuchów. To też częste katastrofy na Wiśle, stały się przyczyną wprowadzenia przepisów. Obecnie kajakowcy są obowiązani posiadać „prawo jazdy", które otrzymają na zasadzie egzaminu z pływania i z wiosłowania.

Kajakarstwo jest sportem wybitnie turystycznym, umożliwiającym poznanie kraju wzdłuż dróg wodnych. Na opisywanie rozkoszy włóczęgi po dzikich, wąskich rzeczkach, po rozlewiskach jezior trzebaby poświęcić wiele miejsca. Zostawimy temat turystyki wodnej na następny raz.

Składak umożliwia i w Warszawie uprawianie krótszych wycieczek. Wyjazd w sobotę po południu, nocleg w namiocie nad Pilicą, Bzurą, Bugiem czy Narwią i spływ przez całą nie-

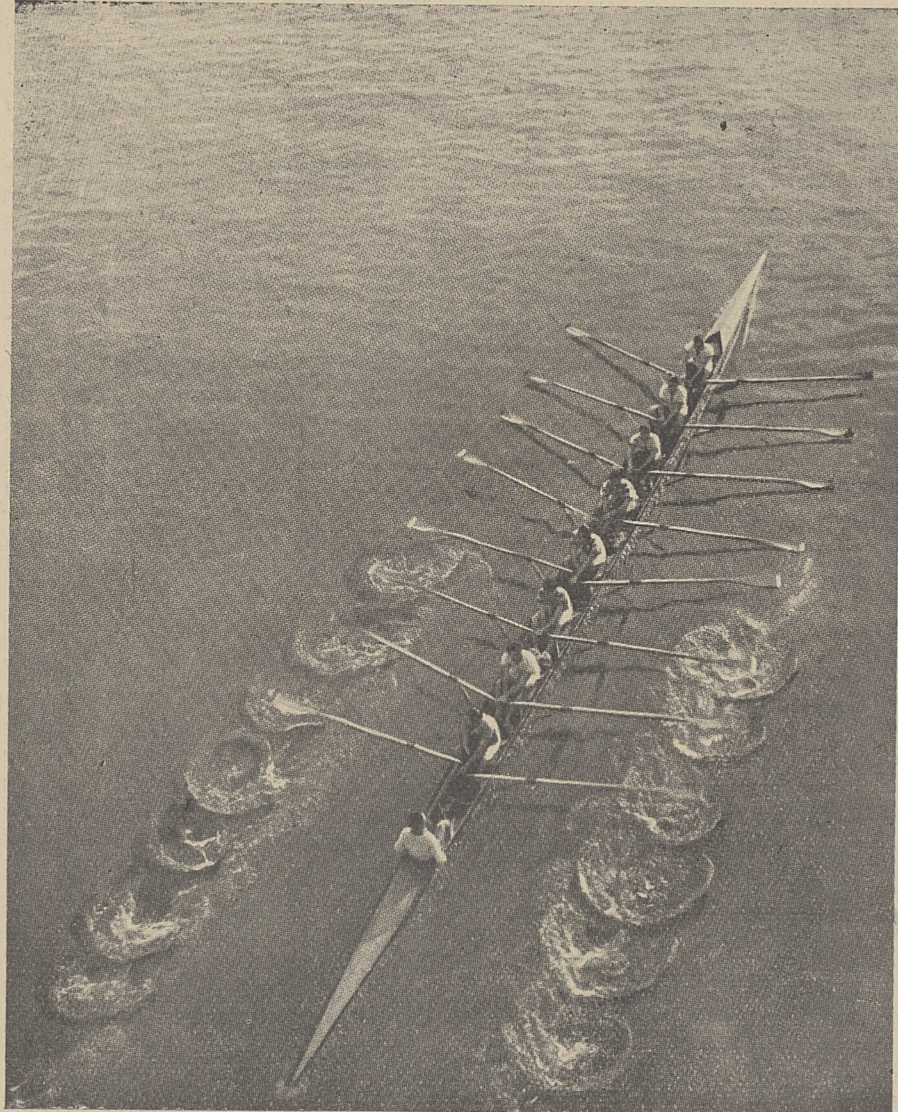
dzielę. Tak spędzony week-end, oderwie nas od powszedniości dnia i doda energji do czekania na niedzielę następną. Zalety składaka są wszystkim dobrze znane. Największą zaletą jego to cena, która obniża się co roku. Kilka lat temu kosztował 600 złotych, dziś już tylko 300.

Kajak drewniany t. zw. popularnie „sztywniak" jest bardziej dostępny ze względu na cenę od 40 zł. do 60 zł, ale też mniej wygodny.

Poza zdrowiem, wypoczynkiem i przyjemnością sporty wodne dają nam jeszcze ładny, bronzowy kolor skóry.

Na całość naszej „wodnej garderoby" złożą się: kolorowa lniana bluzeczka, short'y z naturalnego płótna, na wierzch także płócienna, na parę guzików zapięta spódnica. Pozatem przyda się bardzo para długich, marynarskich spodni oczywiście znowu len, a reglanowy trois quart z samodziału, zamknie serję niezbędnej garderoby.

H. I.



i łódź szybko posuwa się naprzód....

Radjo na Wiśle

Z nastaniem pory letniej dla mieszkańców stolicy otwierają się urocze perspektywy wycieczek Wisłą.

Oczywiście — nie wszyscy są szczęśliwymi posiadaczami kajaków, lub też członkami odpowiednich klubów sportowych, wyposażonych w sprzęt wodny. Ci więc muszą zadowolić się parostatkami, kursującemi po Wiśle. Coraz więcej będzie amatorów dłuższych, lub krótszych podróży po tej królowej naszych rzek.

Wycieczka statkiem spacerowym, parogodzinna lub dłuższa, pozwala odetchnąć czystem powietrzem pól i lasów, pozwala spędzić niedzielę czy święto poza miastem i jest przemiłem spędzeniem wolnego czasu.

Brzegi Wisły, zwłaszcza przy dłuższej podróży są dość monotonne. Jakżeż miłą rozrywką dla pasażera, wygodnie zagłębionego w fotelu trzcinowym czy też leżaku, jest muzyka, płynąca z głośnika radjowego. Niestety, zaledwie kilka statków wiślanych posiada radjoodbiorniki. Ale są to przeważnie aparaty przestarzałego systemu, o głośnikach przykrych w brzmieniu, bez odpowiednich urządzeń dla transmitowania audycyj poza obręb zamkniętej, dusznej kabiny ogólnej, na pokład okrętu.

Niezawodnie pasażerowie parostatków wiślanych i tych, kursujących na innych rzekach, polskich, jak np. Wilja lub Prypeć, byliby szczerze wdzięczni przedsiębiorstwom okrętów rzecznych za odpowiednią instalację aparatów radjowych słyszalnych tak wewnątrz statku, w restauracji okrętowej czy palarni, jak też i nazewnątrz, na środkowych i górnych pokładach. Tego rodzaju inowacja mogłaby się stać atrakcją zachęcającą klijentów do podróży wodnych, nieraz długo trwających. Odpowiednie rozreklamowanie tego faktu, iż każdy pasażer okrętu na Wiśle może słuchać w każdym zakątku statku radjowych audycyj muzycznych komunikatów, dziennika porannego, czy wieczornego i innych, wyszłoby niezawodnie na zdrowie samej istocie komunikacji wodnej. Równocześnie byłaby to doskonała okazja do przeprowadzenia odpowiedniej kampanji propagandowej za możliwie jaknajszerszem korzystaniem z floty, pasażerskiej, śródlądowej przy podróżach do miejscowości położonych wzdłuż Wisły.

Wzmożenie ruchu pasażerskiego na tej rzece wyszłoby na korzyść życiu gospodarczemu.

A także ci, jakże liczni kajakowcy i wycieczkowicze wodni mogliby z powodzeniem zabierać walizkowe aparaty radjowe, by bądź w czasie drogi, bądź też w czasie odpoczynku na brzegu, móc do czasu do czasu posłuchać

co też nadaje Polskie Radjo czy zagranica?

W nadchodzącym sezonie letnim, gdy fale rzek polskich zaroją się turystami wodnymi, niech jaknajbardziej popularne stanie się hasło:

RADJO NIETYLKO NA LĄDZIE,
ALE TEŻ I NA WODZIE!

Nie wątpimy, że w ogólnym pędzie ku radjofonizacji Polski i ten odcinek rzeczny doczeka się nietylko swoich pionierów, ale też i popularyzatorów!

Każdy statek wiślany powinien mieć doskonały odbiornik radjowy, umilający podróż swym pasażerom.

Każdy również sportowiec wodny, o ile go tylko stać na to, powinien pomyśleć o tem, by błądząc po dalekich szlakach wodnych Rzeczypospolitej, móc utrzymywać stały kontakt ze światem. Kontakt ten umożliwi mu jedynie radjo!

Czytamy

Zofja Kossak: *Krzyżowcy*. Tom I: Bóg tak chce. Tom II: Fides Graeca. Tom III: Wieża trzech sióstr. Tom IV: Jerozolima wyzwolona.

Nakładem Księgarni Św. Wojciecha.

„Tym wszystkim, co wątpili o świętości krucjaty... stało się nagle jasnem... że Bóg tak chciał, że Bożem było dziełem, z Bożego ducha poczętem. Szatan starał się ją spaczyć, plamiły ułomności ludzkie, ale cel i myśl pozostawały świętemi. Bożym był ten dreszcz zapału, od którego jeżyła się skóra, a włosy prężyły na czaszce, jak druty. Bożym był zew, który wyciągał ich z domów, i Bożem — rozpierające pierś uczucie wyrastania ponad siebie, gwałtowne łaknienie Czynu ogromnego, wielkiego, coby dzieje te wiekom przekazał i unieśmiertelnił...“

Takiem właśnie jest założenie tej pięknej i mądrej książki.

Nie bohaterstwo uczestników krucjaty, ani niezłomność ducha jej inicjatorów doprowadziło do końca wielkie dzieło, dające zwycięstwo rycerzom krzyżowym, wycieńczonym do ostatecznych granic i stokroć mniej licznym, niż potęga muzułmańska. Nie! Dzieło to było ponad miarę sił ludzkich. To też ludzie, w których chwilami duch wznosił się do najwyższych szczytów ekstazy i poświęcenia, byli pozatem tylko słabymi niewolnikami swego grzesznego ciała. Kilkoletni wysiłek ciągły i wzmagający się aż do okrutnych mąk w pustyniach okalających Jerozolimę — byłby złamał i doszczętnie zniszczył zdziesiątkowane już zastępy wojowników bożych, gdyby nie — cud. Cud sprawił, że krzyżowcy przebrnęli odległość na owe czasy nieprawdopodobną, cud sprawił, że zdobyli Antiochję, Niceję, Jerozolimę. Intencja autorki nie pozostawia wątpliwości: decydujące momenty walk, w których szalę zwycięstwa przechyla na stronę rycerzy krzyża jakaś siła nadziemska — pozostają bez rozumowego wyjaśnienia.

Ale poza czynnikiem boskim, była tam jeszcze potęga przedtem nieznana, lekceważona, przez historyków pominięta, która postawiła Europę w położeniu przymusowem: dojść i zwyciężyć. Gdy pierwszy impuls wielkiego czynu nadały wówczas — jak i po wsze czasy — wybitne indywidualności, to kierownictwo nad dalszym przebiegiem zdarzeń już wymknęło się z rąk przywódców: gigantyczny rozpęd, nadany tłumom, już nie mógł być wstrzymany wolą jednostek. Olbrzymie masy ludzkie, oderwane od swych domów i pchnięte ku podbojowi Ziemi Świętej, nie zdołały się już zatrzymać w rozpędzie. Każdy z poszczególnych rycerzy Krzyża byłby może zawrócił z drogi, tłum — musiał wytrwać i zdobyć Jeruzalem! I jeszcze jedno: w tym tłumie szarpanym sprzecznemi uczuciami, oczarowanym magją wielkiego Dzieła, a pod brzemieniem głodu, pragnienia i wyczerpania — upadającego poniżej zwierząt, w tych tysiącach ciur obozowych, giermków i pachołków budzi się może poraz pierwszy w dziejach Europy świadomość mas proletarjackich. Poczucie równości wobec mąk i śmierci, poczucie własnej mocy i wartości — to w „Krzyżowcach“ jeszcze tylko głuche pomruki wśród gawiedzi obozowej, ale to już zapowiedź bardziej demokratycznej, niż feudalizm, ery.

Ludzkość tworzy ideę, lecz idea przerasta swych twórców. Gdy ludzkość grzeszna i małostkowa upada pod brzemieniem słabości. stworzona przez nią idea. jak żywy płomień wyczarowany z najwyższych wzlotów ducha, obejmuje władztwo nad duszami — i zwycięża.

*

Trzej bracia Strzegonie, rycerze ze Śląska, potrosze przypadkiem znaleźli się w Clermont, i tu porwani zostali boskiem szaleństwem, które ogarnęło świat chrześcijański: na wschód, bronić Jeruzalem! Bóg tak chce!

Towarzyszymy im więc w okrutnej podróży przez kraje nieznane do wrót wiarołomnego Bizancjum, i dalej — pod mury Antiochji, Nicei, aż do Świętego Grodu. Jesteśmy świadkami nadziemskich wzlotów ducha i upadków w otchłanie grzechu, nieludzkich cierpień i wspaniałych zwycięstw wędrującego wojska bożego. Tragizm splata się z sentymentem i epiką w tej książce tak bogatej i pełnej treści. Trzeba jednak przyznać, że tragizmu jest w niej najwięcej, bo też tragiczne były te czasy, które wicher dziejowy tchem swoim owionął.

Osobno kilka słów należy się pięknie narysowanym postaciom kobiecym. Jest ich wśród krzyżowców sporo, a każda inna; galerja portretów niewieścich daje pełną gamę możliwości XI wieku. Najbardziej może uroczą jest postać Ofki, pozostawionej na dalekim Śląsku, żony polskiego krzyżowca — Imbrama Strzegonia. Postać zaledwie naszkicowana, lecz tchnąca niewysłowionym czarem mistyki słowiańskiej. Zupełnie odmienną, choć równie dodatnią i interesującą jest druga Strzegoniowa — Bogucha, w swej prostocie i jednolitości jakże mocna i świadoma w porównaniu z bardziej kulturalnemi i skomplikowanemi. lecz i mniej twórczemi niewiastami Zachodu.

Jako kobiety możemy być dumne, że to właśnie z pod pióra jednej z nas wyszło to wartościowe dzieło, które z pewnością w tłumaczeniach rozejdzie się po całym świecie, sławiąc imię naszej rodaczki.

Zofja Bolesławska

Z półek księgarskich

Irena Stypianka: Sztuka uprzejmości. Zasady i formy dobrego wychowania. Skarbczyk domowy Księgarni Św. Wojciecha.

Pożyteczna ta książeczka obejmuje następujące działy: Zewnętrzny wygląd. Własne ognisko domowe. W miejscach publicznych. Stosunki towarzyskie. Stosunki handlowe i zawodowe. Przydać się ona może każdemu w najrozmaitszych okazjach życiowych.

W. Świerczyński: Artystyczne łamanki z papieru. Skarbczyk domowy Księgarni Św. Wojciecha.

Na letnisku, podczas słoty, bro-

szurka odda nieocenione usługi, umożliwiając zajęcie dzieci najprostszemi środkami: do łamanek potrzeba tylko papieru, nożyczek i czasu. Liczne ryciny ułatwiają wykonanie.

Dr. Herman Muckerman: Rodzina wierna prawom natury. Spolszczył M. Pachucki. Wydawnictwo Księgarni Św. Wojciecha.

Autor propaguje zasadę licznej rodziny, niedopuszczającą regulacji urodzin ani dla celów społecznych, ani zdrowotnych. Jedynem ograniczeniem niepomiernego rozrostu rodziny powinny być — zdaniem autora — więzy moralne, dobrowolnie nakładane na siebie przez współmałżonków. Naturalny przyrost ludności, nieskrępowany sztucznemi środkami, daje możność selekcji i gwarantuje narodowi liczniejszy materjał ludnościowy.

Z. B.

Z refleksyj kosmetycznych

O CZEM PAMIĘTAĆ MUSIMY LATEM

Dni nasze stawiają w sezonie letnim, przed dbającą o swoją urodę kobietą, zadania o wiele trudniejsze i bardziej skomplikowane, niż dawne czasy. Niegdyś chodziło poprostu i jedynie o to żeby się przypadkiem „nie opalić" i mobilizowało się w tym celu między sobą i wrogiem słońcem całą serję ochronnych pancerzy, w postaci parasolek, woalek, kapeluszy o szerokich rondach, palmowych wachlarzy i tempodobnych rekwizytów, które dziś można znaleźć przygodnie chyba gdzieś na strychu.

Nasza epoka, która tak radykalnie zmieniła łożysko nurtu mody, naodwrót stawia przed kobietą bezwzględny imperatyw, aby się opalała o ile się tylko da, ukazując w tym kierunku jako niedościgniony ideał bezmała cerę Abisynki. Ale, że słońce, jak wiadomo, nietylko barwi na tak pożądany kolor, złocisty, oliwkowy, bronzowy, lecz i kąsać potrafi, stając się powodem zgrubień cery, jej łuszczenia się i innych kosmetycznych defektów, więc chodzi z drugiej strony o to, by rolę jego ograniczyć do funkcji jedynie kolorystycznej, powściągając niewczesne psoty, których się dopuszcza ono na naszej twarzy.

Należy przeto ująć jego działanie w pewne karby, co jest już zadaniem kosmetyki, dbającej o to, by zachować piękno naskórka bez względu na jego zabarwienie, porę roku czy klimat, znajdując w nastręczającej się potrzebie stosowne środki zapobiegawcze, bądź zaradcze.

Zbytecznem byłoby tłumaczyć, że przedewszystkiem trzeba mieć na względzie zachowanie pewnych ostrożności, któreby już zgóry zapobiegały ujemnym wpływom słonecznych promieni. Celem obrony przed zbyt intensywnem ich działaniem, powlekamy twarz, szyję, ramiona, oraz części ciała narażone na operację słoneczną odpowiednim kremem, bądź olejkiem, który z jednej strony ułatwi nam równomierne, estetyczne opalenie, z drugiej zaś ochroni skórę przed zbytniem jej wysuszeniem, względnie nawet przed dotkliwem oparzeniem wraz z jego konsekwencjami.

Osoby, skłonne do pigmentacji skóry w postaci piegów, winny używać specjalnego światłochronnego kremu, i wogóle nie narażać się niepotrzebnie na nadmierny kontakt ze słońcem.

W okresie gorących miesięcy ze zdwojoną uwagą czuwać musimy nad pielęgnowaniem cery. Ze środków domowych, dostępnych i poza obrębem bardziej złożonych metod, stosowanych w zakładach kosmetycznych, nie można pominąć często i zdawna używanej w tym razie maski ze zwykłego białka, która po godzinach, spędzonych gdzieś na powietrzu, pozwala wypocząć i odżyć zmęczonej twarzy. Procedura jest całkiem prosta: po oczyszczeniu twarzy wodą i dobrem toaletowem mydłem (czy też np. otrąbkami, bądź specjalnym kremem, lub mleczkiem, o ile skóra źle znosi mydło), powleka się naprzód kremem odżywczym, a następnie białkiem całą twarz i szyję, uwzględniając zwłaszcza faworyzowane przez zmarszczki okolice oczu, kąty ust, czoło. Białko szybko wysycha, powodując uczucie pewnego ściągnięcia twarzy, przyczem zwierają się rozszerzone pory, krwioobieg skóry się ożywia, a po spłókaniu białka wodą występuje nietylko poczucie, lecz i efekt pewnego odmłodzenia. Następcze zmycie twarzy jakiemś mleczkiem migdałowem, czy innym stosownym dla danej cery łagodzącym płynem dopełni całości zabiegu. Osoby o bardzo tłustej skórze mogą powlekać twarz bezpośrednio po jej umyciu białkiem, bez kremu odżywczego.

Lato jest sezonem, który zaleca (choćby ze względu na obfitsze wydzielanie się potu w tym okresie) bardzo powściągliwe ustosunkowanie się do spraw maquillage'u. Trochę pudru, dobrze stonowanego z indywidualną harmonją, coś niecoś w takiej czy innej barwie i odcieniu na powieki, lekkie, nieuniknione dziś już ożywienie barwy warg — oto właściwy na lato negliż maquillage'u sharmonizowany z powietrzem i słońcem.

Więcej niż kiedykolwiek pamiętać natomiast należy, wobec masy pyłów tak łatwo przylegających do wilgotnej skóry, o dokładnem i częstem jej myciu, względnie innem jej oczyszczaniu odpowiednim dla danej cery płynem kosmetycznym, oraz nie pomijać posiłkowania się rozważnie wybieranemi kremami odżywczemi, celem zasadniczego podtrzymania naturalnych walorów urody oraz opóźnienia inwazji zmarszczek, na które

niestety w nieuchronnym, kolejnym swym biegu składają się okresy zarówno lata jak i zimy.

Magdalena Paznańska

Wszystkie nasze abonentki mają prawo do bezpłatnej porady, ustnej lub listownej (w tym razie za dołączeniem znaczka na odpowiedź) w Instytucie Kosmetycznym „Madeleine" d-rowej Magdaleny Poznańskiej — Warszawa, Mokotowska 52 m. 2.

Odpowiedzi kosmetyczne Madeleine'y

Czytelniczce „Tygodnika Kobiety".

Podbródek można tylko zmasować, trzeba robić to jednak b. umiejętnie, aby sobie nie zaszkodzić, dlatego też pożądanem byłoby wziąć parę masaży w dobrym zakładzie kosmetycznym, gdzie udzielą Pani wskazówek, jak zabieg ten przeprowadzać w domu.

Kresowiankom: Marji i Jolancie.

Torby pod oczami wystąpiły skutkiem choroby nerek i kamieni żółciowych. Należy przeprowadzić solidną kurację u odnośnego lekarza specjalisty. Wraz z poprawą zdrowia i worki pod oczyma znikną.

Kuracji ochudzającej bez porady i wskazówek lekarza nie radzę Pani samej prowadzić. Jest to kuracja b. poważna, mająca duży wpływ na serce i cały organizm i w czasie jej trwania konieczna jest stała opieka lekarska.

W czasie ochudzania trzeba zawsze twarz i szyję poddawać zabiegom kosmetycznym w zakładzie, aby skóra nie zwiędła i nie pomarszczyła się. Sama Pani tych zabiegów robić nie może, potrzebne są do tego fachowe ręce, umiejętność masażu i innych zabiegów kosmetycznych, mających na celu pojędrnienie skóry.

Włosy można tylko ufarbować, innej rady, niestety, na siwienie niema. Ponieważ włosy są tłuste i słabe, wypadają, sądze, że cierpi pani na łojotok skóry głowy. I tutaj należy przeprowadzić poważną kurację o ile chce Pani włosy uratować. Bardzo dobrze robią poza specjalnym masażem leczniczemi płynami, naświetlania skóry głowy kwarcówką.

Na zepsuty owal twarzy i podbródek zaaplikować trzeba umiejętny masaż, robiony przez dobrą kosmetyczkę, znającą do głębi swój fach.

Przepraszam za opóźnienie w odpowiedzi, ale czekać musiała kolei, a korespondencji miałam moc.

Magdalena Poznańska

Ze Związku Pań Domu

Zjazd Delegatek Oddziałów Związku Pań Domu oraz uroczystość 10-lecia istnienia Oddziału Warszawskiego tegoż Związku odbędą się w dniach 4, 5 i 6 czerwca r. b. w Warszawie.

Protektorat nad uroczystym obchodem przyjęła łaskawie Pani Prezydentowa Marja Mościcka.

Po mszy św. o godz. 9,30 w kościele św. Piotra i Pawła na Koszykach (ul. Nowogrodzka 51) uroczyste otwarcie Zjazdu nastąpi w sali „Roma" (ul. Nowogrodzka Nr. 49) o godz. 11-ej rano. W programie Zjazdu przewidziane są referaty pp. Ireny Szumlakowskiej, Haliny Mamelokowej oraz dr. Zabawskiej-Domosławskiej.

Szereg wycieczek po Warszawie oraz jej najbliższych okolicach będzie stanowić przyjemne urozmaicenie czasu dla mile widzianych gości Zjazdowych. Ciekawie zapowiada się jedyny w swoim rodzaju pokaz „Pokaz Polskiej Książki Kucharskiej" urządzony przez Radę Naczelną Gospodarczego Wykształcenia Kobiet w siedzibie Związku Pań Domu — Nowy Świat 9.

Wreszcie przyjęcie dla delegatek i uczestniczek w salonach Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego, ul. Pierackiego 19.

Uczestniczyć w Zjeździe mogą nietylko delegatki Oddziałów oraz członkinie Związku, ale wszyscy, którzy się Związkiem i Jego działalnością interesują.

Do brania udziału w wyżej wymienionych uroczystościach oraz w zamknięciu Zjazdu upoważnia karta uczestnictwa, w którą zaopatrzyć się można w Sekretarjacie Związku Pań Domu — Nowy Świat 9.

Ulgi dla Pań prenumeratorek Tygodnika Kobiety

Podajemy do wiadomości wszystkich Pań prenumeratorek „Tygodnika Kobiety", że Redakcja uzyskała następujące ulgi, do korzystania z których uprawnia kwit opłaconej prenumeraty za miesiąc bieżący:

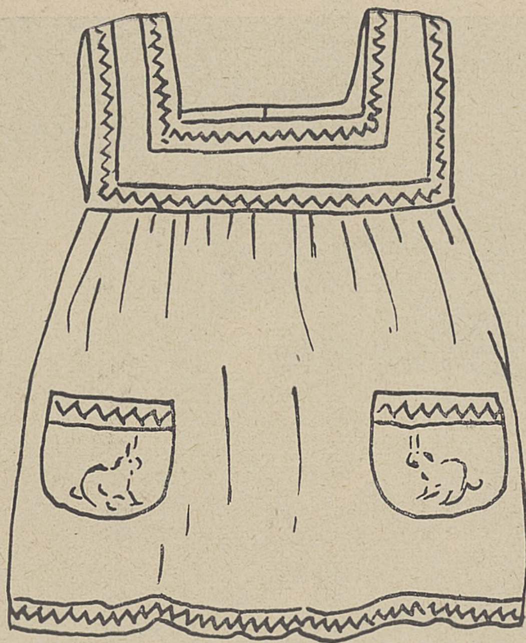
CZYTELNIA PRZY KSIĘGARNI SZYLLINGA — Warszawa, ul. Szpitalna 10:
a) zwalnia z opłaty zastawu za książkę,
b) daje 20% zniżki od normalnej ceny abonamentu.

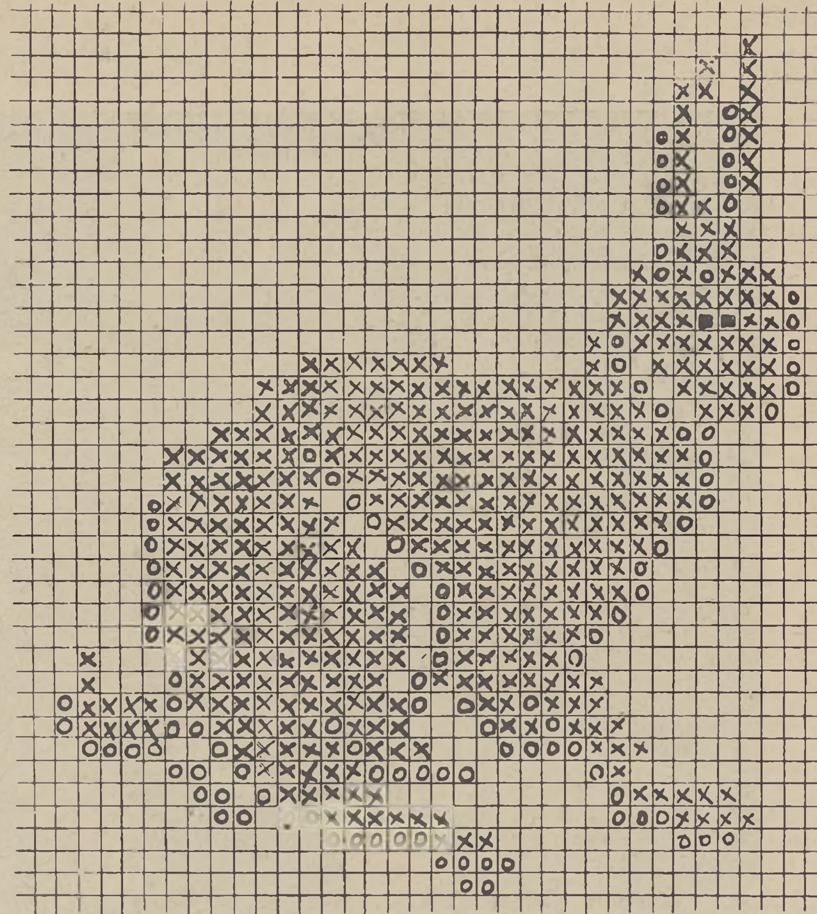
„MADELEINE" — INSTYTUT RACJONALNEJ KOSMETYKI Dr-owej MAGDALENY POZNAŃSKIEJ, Warszawa, ul. Mokotowska 52 — tel. 8-08-37:
10% zniżki od ceny zabiegów i kosmetyków.

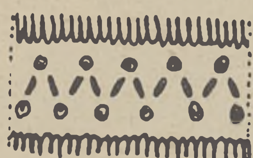
GABINET DENTYSTYCZNY MARJI DMOWSKIEJ — Warszawa, Mokotowska 45 m. 3:
specjalne zniżki dla Prenumeratorek Tygodnika Kobiety.

PRACOWNIA GORSETÓW, PASÓW I BIUSTONOSZÓW JANINY KIEDRZYŃSKIEJ — Warszawa, ul. Ks. Skorupki 14 — tel. 8-80-75. Zniżki od 5% do 10% od cen cennika dla Prenumeratorek Tygodnika Kobiety.

ZAKŁAD FRYZJERSKI „MARJA" — ul. Złota 5 m. 26, tel. 6-17-37. Od rewelacyjnie niskich cen cennika 10% zniżki dla Pań Prenumeratorek Tygodnika Kobiety.





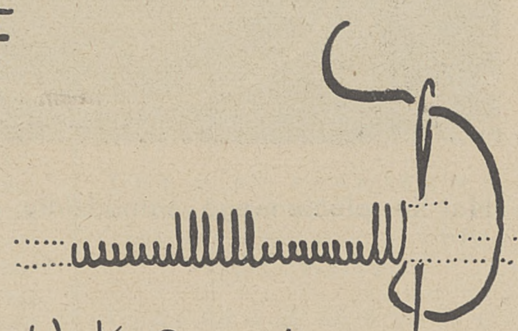


Marioś

Fartuszki dla dziewczynki







Wykończenie brzegów



Na tle płóciennego samodziału, haftowanego w liście, pięknie wyglądają płaskie czary wypełnione nenufarami.

ZRZESZENIE KOBIET POLSKICH

zawiadamia Panie Prenumeratorki i Czytelniczki Tygodnika Kobiety o powstaniu DOMU WYPOCZYNKOWEGO dla KOBIET w Hallerowie nad Bałtykiem.

Stacja kolejowa i autobusowa w miejscu.
Ceny z całodziennem obfitem, zdrowem utrzymaniem:

w miesiącach czerwcu i wrześniu zł. 3,75 od osoby
„ lipcu i sierpniu zł. 4,50 od osoby.

szczegóły i zapisy w Redakcji Tygodnika Kobiety codziennie od godz. 11 do 15 i w tymczasowym lokalu ZRZESZENIA KOBIET POLSKICH ul. Nowogrodzka 27 m. 4:

we wtorki od godz. 10 do 13
w piątki od „ 16 do 19.

PIERWSZEŃSTWO MAJĄ PANIE PRENUMERATORKI TYGODNIKA KOBIETY



SZTUKA PAKOWANIA

Od umiejętnego i systematycznego zapakowania rzeczy zależy w znacznej mierze przyjemność i zadowolenie osoby wyjeżdżającej. Bo stwierdzenie po przyjeździe braku jakiegoś niezbędnego przedmiotu albo „wygniecenie" garderoby wprawiają w stan słusznej irytacji. I to bez względu na to, czy podróż została podjęta w ważnym interesie, w sprawach osobistych, czy też wypoczynkowych.

Chcąc uniknąć tego rodzaju przykrości, najlepiej pakować się w sposób systematyczny. To znaczy stosownie do długotrwałości wyjazdu obmyśleć co trzeba koniecznie zabrać ze sobą. Bardzo dobrze jest zrobić najpierw spis tych niezbędnych rzeczy. Bo wtedy łatwo można się zorjentować czy się czego nie zapomniało.

Następnie dobrze jest wyjąć wszystkie potrzebne rzeczy i ułożyć je na stole, względnie na łóżku lub tapczanie. Przygotować odpowiedniej wielkości walizkę (czy kufer) i pakować.

Często na krótkotrwały wyjazd wystarczy mały neseser, który pomieści przybory toaletowe, nocną bieliznę, szlafrok lub pyjamę, pantofle i jedną zmianę bielizny.

O ile spisanie niezbędnych rzeczy i przygotowanie ich zawczasu gwarantują całkowicie zapomnienie czegoś niezbędnego, o tyle tylko umiejętne pakowanie chroni garderobę od tak przykrego wygniatania się.

Jako zasadę przyjąć należy pakowanie naspód rzeczy najcięższych po wyłożeniu walizki czy kufra czystym kawałkiem płótna, lub kretonu, którym się potem wszystko przykrywa. Bo do najszczelniejszej nawet walizki dostaje się kurz.

Na spód zatem układa się bardzo równo bieliznę pościelową, ręczniki i bieliznę osobistą. Układać trzeba w taki sposób, żeby nie było żadnych szpar, które uszczelnia się pończochami i drobiazgami.

Na wierzch lub w górną szufladę walizki kładzie się dopiero ubranie. Jeżeli to rzeczy pani, to trzeba na stole lub łóżku układać każdą sztukę równo i gładko. Najpierw grubsze sztuki, dopasowując je do rozmiaru walizki. Następnie układa się przedmioty delikatniejsze i lżejsze. Z boków można układać obuwie, owinięte w papier, ale tak, ażeby nie wpływało to na wygniatanie się przedmiotów.

Przy pakowaniu męskiej garderoby należy bieliznę układać także w powyższy sposób. Z ubrania kładzie się naspód spodnie złożone wzdłuż zaprasowanych sztab i mniej więcej na połowę długości, dopasowując złożenie do długości walizki. Potem kładzie się kamizelki. Na sam wierzch marynarki, które się składa na lewą stronę, na połowę, wkładając jedno ramię w drugie. Niektórzy stosują bardziej skomplikowany sposób układania marynarek, zakładając oba przody. Ale sposób opisany powyżej jest zupełnie wystarczający.

Rzeczy ułożone w ten sposób i dokładnie uszczelnione nie zgniotą się nawet podczas długotrwałej podróży.

Kapelusze pakuje się do specjalnych pudełek, które nietylko gwarantują całość tych przedmiotów ale i wyglądają bardzo estetycznie.

Igła

PRZYPOMINAMY!

Czas odnowić prenumeratę!

FIVE U ZOJI

Było niebiesko i biało. To znaczy, że nietylko lokal jest biało-niebieski ale było morze białych kwiatów i pani domu w niebieskiej organdynie. Panowała zatem atmosfera niebieskiej beztroski i białego dymu z papierosów.

No i były śliczne panie, których uroda przynosi zaszczyt zrecznym palcom pani Zoji. I panowie, którzy na tę urodę patrzyli. Albo mówili o niej ze swadą i ciętym humorem, jak prof. Pruszkowski.

A kiedy nastrój miłego i słodkiego five'u doszedł do pewnego stadjum, pani domu poprosiła na przewodniczącą zebrania najpiękniejszą Panią Warszawy p. Ninę Grudzińską, która udzieliła głosu p. Jabłońskiej, nagrodzonej hucznemi brawami za świetną recytację. Śpiewał też smętne piosenki pan Olgierd, a p. Litwinowiczowa porywała wszystkich cudną barwą wspaniale postawionego głosu.

Prędko mijał czas w atmosferze artystycznych produkcji, zapachu kwiatów, pięknych kobiet i gościnności pani domu, która z entuzjazmem pracuje nad kultywowaniem urody kobiecej.

BALKONY

3.

Już wkraczamy w okres pełnej dekoracyjności naszych skrzynek balkonowych i okiennych. Rośliny posiane wzeszły, przesadzone z doniczek czy inspektów wegetują szybko w ciepłem słońcu, zaczynają wykształcać pąki kwiatowe.

Troska o dobór roślin, o ich zdobycie i posadzenie jest poza nami. Teraz musimy otoczyć racjonalną opieką nasz wiszący ogród, aby zakwitł bogato i cieszył wzrok aż do jesieni.

Omawiając „sprawę balkonową" zwracałam już uwagę na konieczność dostarczenia roślinom wegetującym w niewielkiej ilości ziemi, wystarczających pożywek. Dlatego też zasilanie nawozami pomocniczemi staje się koniecznością, musi być jednak stosowane umiejętnie i systematycznie.

Okres zasilania rozpoczyna się z chwilą, gdy siewki staną się silne, a rośliny wysadzone do skrzynek (doniczkowe i rozsada) zadomowią się na nowem podłożu, inaczej „ukorzenią". Rozpoznajemy to po zewnętrznym, zdrowym, rzeźkim wyglądzie rośliny, po jej łatwym do zaobserwowania odzyskaniu sprawności wegetacyjnej.

Do najbardziej wskazanych nawozów pomocniczych należy bezsprzecznie sól chorzowska, tak zwana „mieszanka do kwiatów", zawierająca wszystkie składniki niezbędne dla wyżywienia roślin kwiatowych.

Racjonalna dawka to czubata łyżeczka soli chorzowskiej (od herbaty), rozpuszczona w 4-ch litrach wody. Roztworem tym polewamy rośliny systematycznie w odstępach dwutygodniowych. Polewać trzeba o zachodzie słońca, starając się lać roztwór wprost na ziemię *pod rośliny*, tak aby nie padał na kwiaty, liście i łodygi.

Do równie ważnych wskazań, jak zasilanie, należy utrzymywanie ziemi w skrzynkach w stałej wilgotności. Przy braku opadów atmosferycznych skrzynki balkonowe i okienne powinny być polewane codziennie w godzinach wieczornych...

Ziemię w skrzynkach należy spulchnić od czasu do czasu, tak aby jej powierzchnia stała się łatwo przepuszczalna zarówno dla wody, jak powietrza i słońca. Spulchnianie powierzchni najlepiej wykonać drewnianym widelcem, nie zapuszczając go zbyt głęboko, aby nie uszkodzić korzeni.

Bujnej wegetacji i obfitemu kwitnieniu sprzyja zraszanie roślin, które łatwo wykonać konewką opatrzoną w drobne sitko, albo rozpylaczem.

Usuwanie okwitających kwiatów to zabieg nietylko wskazany, ale niezbędny, jeżeli chcemy utrzymać siłę kwitnienia roślin, które zatracają ją szybko, kształcąc nasiona. *Joanna.*

Jadłospis tygodniowy

NIEDZIELA

Buljon z jajami w koszulkach.
Befsztyk po angielsku — sałata — kartofelki z wody z koperkiem.
Szparagi z masłem.
Lody cytrynowe.

PONIEDZIAŁEK

Zupa cebulowa z grzaneczkami.
Makaron włoski wypiekany z pomidorami.
Sałata zielona.
Ciastka kruche z rabarbarum.

WTOREK

Rosół z liśćmi szczawiowemi.
Sztuka mięsa — sos koperkowy — kartofle z wody.
Sałata.
Biszkopt z marmeladą owocową.

ŚRODA

Sałata z rzodkiewek ze śmietaną i szczypiorkiem.
Chleb razowy z masłem.
Kartoflanka z jarzynkami.
Jaja z cynaderkami — kluseczki kładzione.
Galaretka owocowa.

CZWARTEK

Zupa koperkowa zabielana z makaronem.
Kotlety pożarskie z cielęciny (patrz Nr. 18 Tyg. Kob.).
Jarzynki mieszane — sałata.
Sernik domowy.

PIĄTEK

Sałatka z jarzyn zaprawiona kwaśną śmietaną i siekaną zieleninką.
Zupa grzybowa czysta z łazankami.
Krokiety z ryżu — sos pieczarkowy — sałata.
Suflet pomarańczowy.

SOBOTA

Barszcz czysty z uszkami.
Kaszka krakowska na sypko z koperkiem — sos rakowy.
Szparagi z masłem.

Punktualne przekazywanie prenumeraty to podstawa rozwoju wydawnictwa!

Prosimy o regulowanie zaległości!

PRZEPISY KULINARNE

DANIA SEZONOWE.

Chłodnik naprędce. Proporcja: szklanka kwasu ogórkowego, 3 szklanki barszczu czerwonego (ugotować młode buraczki z botwinką na rosole), botwinka, trochę siekanej zieleninki (koperku i szczypiorku), kilka jaj gotowanych na twardo, duży świeży ogórek, zimna cielęcina, albo kura, 4 szklanki młodej gęstej śmieany, soli do smaku.

Ugotować młode buraczki z botwinką na cielęcym rosole. Gotowaną cielęcinę użyć do chłodnika. Gdy barszcz wystygnie, wlać go od kamiennego garnka razem z drobno pokrajanemi buraczkami i botwinką, doprawić do smaku kwasem ogórkowym, wstawić w lód.

Pokrajać cielęcinę w drobną kosteczkę, tak samo podzielić świeży ogórek. Jajka gotowane na twardo pokarajać każde na 8 części, usiekać drobno koperku i szczypiorku. Wszystkie te dodatki włożyć do wazy, postawić w zimnie. Na wydaniu zaprawić chłodnik surową śmietaną, wlać na dodatki, włożyć do wazy kawałek sztucznego lodu i podawać natychmiast, żeby topniejący lód nie rozcieńczył zanadto zupy.

Jeżeli chłodnik ma być reprezentacyjny, można dodać do niego jeszcze szyjek rakowych.

Zwyczajny barszcz zabielany na zimno. Ugotować na cielęcym rosole, albo na smaku z jarzyn, młode buraczki i drobno posiekaną botwinkę. Zaprawić kilkoma łyżkami śmietany rozbitej z łyżką mąki. Wlać barszcz w garnek kamienny, wynieść do zimnej piwnicy, albo wstawić do lodowni. Resztę śmietany trzymać również w zimnie. Na chwilę przed wydaniem na stół dodać do barszczu siekanej zieleninki, zaprawić go resztą surowej śmietany, wymieszać, dodać do smaku trochę kwasu ogórkowego.

Kurczęta smażone. Młode sześciotygodniowe kurczątka oskubać delikatnie, aby nie pozadzierać skórki, wymyć, osączyć, posolić. Po upływie pół godziny podzielić kurczęta na połówki, każdą połówkę utarzać w mące, umaczać w rozbitych jajkach, skrążyć w tartej osianej bułeczce.

Rozgrzać w płaskim rondlu, albo na bardzo głębokiej patelni tyle szmalcu, żeby kurczęta w nim pływały, jak pączki. Smażyć na złoty kolor, a gdy się pięknie zrumienią, osączyć z tłuszczu na bibule, ułożyć w rynce ogniotrwałej i wsunąć jeszcze na 10 do 15 minut do pieca, aby się wewnątrz dopiekły. Podawać przybrane smażoną natką od pietruszki. Do kurcząt po wiedeńsku daje się mizerję, albo sałatę zieloną, zaprawioną sokiem cytrynowym i oliwą.

Kurczęta z pomidorami. Mięsiste, duże kurczęta oczyścić, wypłókać w kilku wodach, namoczyć na godzinę w zimnej wodzie. Wyjąć z wody, osączyć, posolić. Na każde kurczę wziąć: 5 dkg. masła, sporą cebulę, 2 łyżki konserwy pomidorowej, albo $^1/_4$ kg. świeżych pomidorów, łyżkę tartego sera szwajcarskiego, 1 bułkę, 1 jabłko, 1 łyżeczkę buljonu.

Udusić cebulę z masłem, podlać buljonem, dodać łamane na cząstki pomidory, dusić chwilę, aby puściły sok (jeżeli bierzemy konserwę, to rozprowadzić ją rosołem, dając na każdą łyżkę konserwy łyżkę rosołu). Wkrajać obrane ze skórki i pokrajane na kawałki jabłka, albo rabarbar, ułożyć w tym sosie kurczęta, dzielone na ćwiartki dusić je na wolnym ogniu pod przykryciem, dopóki nie będą miękkie. Pod koniec duszenia wsypać ser, dodać bułki, połamane na kawałki, a w razie potrzeby dolać kilka łyżek rosołu.

Gdy kurczęta już zupełnie miękkie, wyjąć je z sosu, ułożyć na półmisku, ustawić na parze, żeby kurczęta nie wystygły. Przykryć miską, inaczej obeschną. Sos przefasować przez sito, zagotować, dodać po zdjęciu z ognia kilka łyżek wina owocowego, doprawić do smaku solą, odrobiną cukru i białego pieprzu. Zalać kurczęta sosem, podawać bardzo gorące. Do nich oddzielnie delikatne, małe kluseczki kładzione, kraszone masłem, albo młode kartofle.

Takie kurczęta są też wyśmienite na zimno. Zalane sosem i doskonale wystudzone podać, przybierając ćwiatrkami jajek na twardo, młodziutkiemi listkami sałaty i plastrami świeżych pomidorów, ułożonych na sałacie.

Potrawa z piersi od kur z pieczarkami i djablotkami. Ugotować piersi młodych kur. Zdjąć z kości, obrać ze skóry, podzielić każdą pierś na dwie części.

Udusić kilkanaście młodych białych pieczarek, poszatkowanych cienko razem z ogonkami, krajać wzdłuż. Dusić w maśle i soku cytrynowym, nie soląc.

Zasmażyć dwie łyżki masła z czubatą łyżką mąki, rozebrać rosołem i szklanką wyborowej, młodej, kwaśnej śmietany. Zagotować, mieszając bezustannie. Gdyby sos okazał się rzadki (zależy to od gatunku mąki), zagęścić go jeszcze trochą mąki rozrobionej w zimnym rosole i jeszcze raz zagotować. Dodać duszone pieczarki, doprawić do smaku solą, sokiem cytrynowym, paroma kroplami mocnego buljonu. Ułożyć piersi od kur na okrągłym półmisku, zalać wrzącym sosem, postawić półmisek na chwilę na parze, aby się mięso rozgrzało. Można też trzymać piersi od kur w gorącym rosole, a wykładając je na półmisek doskonale osączyć, żeby rosół nie rozrzedził sosu. Sos powinien być gęsty. Trzeba go dać tyle, żeby rand od półmiska był wolny. Na tym rancie ułożyć wieniec z drobnych ciasteczek serowych w formie półksiężyców. Podawać natychmiast, żeby się ciasteczka nie rozmoczyły. Można też potrawę z szampionami podawać w eleganckiej rynce ogniotrwałej i pokryć cały wierzch drobnemi ciasteczkami.

Djablotki do potrawy z kur. Proporcja: 10 dkg. mąki pszennej, 10 dkg. masła deserowego, 10 dkg. sera szwajcarskiego tartego na bardzo drobnej tarce, szczypta soli.

Mąkę, ser tarty i masło zagnieść jak kruche ciasto, wsypując trochę soli do smaku. Zagniecione ciasto pozostawić pół godziny w chłodzie, aby stężało. Wałkować na pół palca grubo, wycinać kieliszkiem krążki i każdy krążek przeciąć tym samym kieliszkiem na pół. W ten sposób uformują się z każdego krążka dwa ciasteczka o bardzo ciekawych kształtach: półksiężyca i równomiernego obustronnie owalu. Ułożyć na blasze, wsunąć do dobrze gorącego pieca, który grzeje równomiernie od spodu i z wierzchu. Upiec na kolor jasno-złoty. Piec szybko, aby się nie smażyły, a odrazu rumieniły. Jeżeli ciasteczka takie są za silnie zrumienione, nabierają niemiłej w smaku goryczy i odoru spalonej kości.

Mostek cielęcy w sosie groseille. Biały mięsisty mostek cielęcy namoczyć na noc w zimnej wodzie. Po wyjęciu z wody osączyć, ułożyć w rondlu wyłożonym plasterkami słoniny. Przykryć mięso warstwą cienko krajanej włoszczyzny, dać parę ziarn pieprzu, ziela, listek bobkowy. pół cebuli. Podlać mocnym rosołem, albo buljonem. Dusić pod przykryciem dopóki nie zmięknie, jednak uważać, aby się mięso nie rozdusiło w nitki.

Wyjąć z mostka wszystkie kości (po ugotowaniu łatwo odchodzą), rozłożyć go na czystej desce do mięsa, przyłożyć drugą deską, obciążając ją równomiernie, tak, aby mięso się wyprasowało. Wystudzony mostek pokrajać w równomierne dosyć wąskie kawałki. Każdy kawałek oprószyć mąką pszenną, umaczać w rozbitem jajku, skrążyć w tartej, osianej bułeczce, smażyć na obfitem maśle na złoty kolor.

Można też podawać mostek z sosem groseille, albo z jarzynkami.

Sos groseille. Parę łyżek agrestu z konserwy albo świeżego włożyć do rondelka, dodając czubatą łyżkę masła, jedną — dwie łyżki białego wina, trochę mocnego buljonu. Gotować 5 minut na wolnym ogniu. Przygotować zasmażkę z masła i mąki, nie rumieniąc. Rozprowadzić mocnym rosołem, dodać agrest duszony w winie, zagotować. Sos powinien być gęsty, rodzaj marmolady owocowej. Dać agrest pośrodku okrągłego półmiska, ułożyć na nim osmażony mostek, przybrać małemi krokietami z kartofli.

Oryginalny sposób przyrządzania szpinaku. Dowolną ilość szpinaku obgotować na lekko osolonej wodzie, osączyć, usiekać drobniutko, albo przefasować przez sito.

Zasmażyć łyżkę masła z pół łyżką mąki, nie rumieniąc (proporcja masła na 1 kg. szpinaku surowego), włożyć szpinak, dodać trochę słodkiej śmietanki, wymieszać, zagotować. Wysmarować ogniotrwały półmisek

masłem deserowem, wyprószyć tartym serem szwajcarskim. Ułożyć na półmisku szpinak, zalać gęstym sosem beszamelowym, zaprawionym surowemi żółtkami i tartym serem. Po wierzchu oprószyć tartym serem szwajcarskim, skropić masłem sklarowanem, zapiec na jasno-złoty kolor. Wydawać na stół na tym samym półmisku, na którym szpinak był w piecu, garnirując grzankami z bułki.

Szparagi na zimno po francusku. Przyciąć krótko szparagi tak, aby zachować tylko najdelikatniejsze części przylegające bezpośrednio do łebków. Obrać z włókien, ugotować na lekko osolonej i ocukrowanej wodzie. Ugotowane wyjąć delikatnie, łyżką durszlakową na sito i doskonale osączyć. Zimne szparagi ułożyć na podłużnym półmiseczku szklanym. Oddzielnie w sosjerce podać oliwę nicejską wyborową doprawioną sokiem cytrynowym i dużą ilością siekanej nowym i dużą ilością siekanej zieleninki. Kto nie lubi oliwy może zastąpić ją żółtkami surowemi, utartemi z sokiem cytrynowym, do kórych trzeba dodać: soli, odrobinę białego pieprzu i dużo drobniutko siekanej zieleninki.

Krem waniljowy. Proporcja: Szklanka śmietanki, 4 żółtka, 10 dkg. cukru-pudru, 10 listków żelatyny, 2 szklanki słodkiej śmietanki kremowej.

Pokrajać wanilję w niewielkie kawałki, wrzucić do śmietanki, przykryć, zagotować na bardzo wolnym ogniu. Pozostawić przykrytą, aż do wystudzenia, poczem przecedzić przez gęste sitko.

Ubić do białości 4 żółtka z 10 dkg. cukru-pudru, rozprowadzić śmietanką, podgrzewać na ogniu (najlepiej w kamiennym garnuszku), ciągle mieszając, dopóki krem nie zrobi się gęsty. Nie gotować. Do gorącego kremu, po zdjęciu z ognia, włożyć 10 listków żelatyny wymoczonej w zimnej wodzie i doskonale odciśniętej. Zamieszać, przecedzić przez sitko, przykryć, aby się krem nie ściął po wierzchu w czasie stygnięcia.

Ubić na lodzie 2 szklanki słodkiej kremowej śmietanki. Z gotowym kremem wymieszać letnią zaprawę żółtkową. Ubijać, dopóki nie zacznie tężeć. Wówczas ułożyć krem w formie, wysypanej cukrem-pudrem, zamrozić. Podawać ubrany biszkopcikami i konfiturami, osączonemi z syropu.

Formę przed posypaniem cukru trzeba potrzymać chwilkę obróconą dnem do góry nad parą.

Krem waniljowy w formie z biszkoptów. Odpowiedniej wielkości tortownicę wyłożyć drobnemi biszkoptami (podeszewkami), wypełnić kremem waniljowym, układając go, gdy tężeć zaczyna. Zamrozić. Można też wymieszać taki krem ze świeżemi drobnemi owocami (truskawki, maliny, bardzo dojrzałe poziomki ogrodowe), a będzie jeszcze smaczniejszy i wykwitniejszy. Po zamrożeniu otworzyć delikatnie tortownicę, zdjąć okalający ją pierścień, przyłożyć okrągły półmisek do powierzchni kremu i, przytrzymując palcami spód tortownicy, wywrócić ją do góry dnem. Przybrać krem powierzchu konfiturami, albo pięknemi drobnemi owocami świeżemi.

Krem z kwaśnej śmietany zamrożony. Proporcja: szklanka słodkiej śmietanki kremowej, szklanka kwaśnej śmietany, 15 dkg. cukru pudru, 5 listków żelatyny, konfitury.

Zmieszać słodką śmietankę kremową i młodą, wyborową kwaśną. Postawić na lodzie, a gdy doskonale zaziębnie, ubijać, rzymając stale naczynie na lodzie. Gdy krem ubity, pudrować go miałkiem cukrem przez sitko i dalej jeszcze ubijać. W przeddzień osączyć z syropu i obsuszyć lekko w ciepłym piecyku kilka łyżek konfitur z czarnych wisien drążonych. Włożyć konfitury w gotowy krem. wlać żelatynę, wymoczoną w zimnej wodzie, odciśniętą i rozpuszczoną w odrobince wrzącej wody. Doskonale wymieszać, włożyć w puszkę od lodów, albo formę blaszaną. Zamrozić. Podawać na stół przybrany konfiturami z wisien, osączonemi z syropu.

Melba.

TORT ŚNIEŻNY.

Dodatki do ciasta: 2 jajka, 100 gr. cukru, 4 łyżki stołowe wody, 175 gr. mąki pszennej, $^1/_2$ paczki proszku do pieczenia „Backin" D-ra Ooetkera, 1 paczka waniljowego proszku do sosu D-ra Oetkera.

Dodatki do przełożenia: 250 gr świeżych owoców, 150 gr. cukru, 1 paczka waniljowego cukru D-ra Oetkera, 1 białko, $2^1/_2$ listków białej żelatyny D-ra Oetkera.

Sposób przyrządzania ciasta: Żółtka i cukier utrzeć na pianę, dodać wodę, przesianą i zmieszaną z Backinem mąkę i proszek waniljowy do sosu, a na sam koniec bardzo ostrożnie piankę z białek. Ciasto to wyłożyć do wysmarowanej tłuszczem tortownicy i piec na średnim ogniu 20—30 minut.

Sposób przyrządzania przełożenia: Zmiażdżyć truskawki albo poziomki, włożyć do kamiennej miski lub bardzo wysokiego garnka kamiennego, dodając po ostudzeniu 150 gr. cukru, 1 paczkę waniljowego cukru i 1 białko. Ubić wszystko trzepaczką na gęstą pianę (20—30 min.). Dodać rozpuszczoną żelatynę, odstawić pianę na krótki czas i zużyć krótko przed stężeniem.

Spód tortowy przekrajać na 2 kręgi, nadziać pianą owocową na grubość mniej więcej 1 cm., posmarować resztą pianki powierzchnię tortu oraz brzegi, ozdobić powierzchnię owocami.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

REDAKTORKA NACZELNA: *Wanda Dobrzańska.* WYDAWCA: *Kobieca Spółdzielnia Wydawnicza.*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Szpitalna 5, m. 15, tel. 5-07-03. Konto P. K. O. 13.191.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 mm. 1 szpaltowy w dziale 3 łamowym 75 gr., cała strona 550 zł.; w dziale 4 łamowym 50 gr., cała strona 495 zł.

Drukarnia Krajowa w Warszawie. Chłodna 44. Tel. 5.88-70.

104. BOLERO Z PŁÓTNA W KOLORZE NATURALNYM W KOLOROWE PASY.

105. KOSTJUM PLAŻOWY Z GRUBEGO JEDWABIU BIAŁEGO W GRANATOWE GROCHY. PRZYBRANIE: CZERWONY PAS I SZNUR PRZY SZYI. OBOK PODANY WYKRÓJ KOSTJUMU.

106. SUKNIA PLAŻOWA Z ŻÓŁTEGO PŁÓTNA, SKŁADAJĄCA SIĘ Z PELERYNKI I SPÓDNICY ZAPINANEJ NA GUZIKI. OBOK WYKRÓJ SPÓDNICY I PELERYNKI.







KOSTJUM KĄPIELOWY Z PODWÓJNEGO BIAŁEGO TRYKOTU WEŁNIANEGO. PASEK BIAŁY GUMOWY.

KAMIZELKA DO SPODNI PLAŻOWYCH, WYKONANA Z TRYKOTU W DROBNE PASECZKI, ZAPIĘTA Z TYŁU NA KLAMRĘ.



Drukarnia Krajowa w Warszawie, Chłodna 44, tel. 5.88-70.